

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce : półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 29 stycznia 1910. Nr. 5.

Proces Borowskiej.



(Więźniowie wnoszą na krześle oskarżoną Janinę Borowską do sali rozpraw).

Szereg zdjęć z procesu Borowskiej.

W sprawie wielkiej Szarady.

Ostatnia nasza wielka szarada o nagrody w kwocie 5.000 koron, wywołała olbrzymie, niezwykłe zainteresowanie. Wyrazem tego jest przeszło 2.000 rozwiązań, które dotąd otrzymaliśmy. Z powodu jednak życzeń z bardzo wielu stron wyrażonych, zwłaszcza od Czytelników z Królestwa Polskiego, przedłużamy termin nadsyłania rozwiązań do 15 lutego b. r.

Wobec tego przesuniemy też stosownie termin ogłoszenia nazwisk rozwiązujących i termin losowania, o czem w stosownym czasie P. T. Czytelników zawiadomimy.

Proces Borowskiej.

Zwolna, po dwóch przeszło tygodniach rozprawy, zbliżamy się do końca postępowania dowodowego w procesie przeciw Janinie Borowskiej. Przed ławą przysięgłych przesunął się długi szereg świadków, przesłuchiwanych przez przewodniczącego, nadradcę Błonarowicza, w kwestyi bądź stosunku śp. Lewickiego do oskarżonej, bądź zachowania się Borowskiej bezpośrednio po wypadku.

Mimo tak długiego trwania rozprawy, zainteresowanie się nią nie słabnie wśród najszerszych kół publiczności ani na chwilę. Jak pierwszego dnia, tak każdego z następnych sala zapełnia się do ostatniego miejsca; również galerya obsadzona codziennie bardzo silnie.

Publiczność, zapełniająca salę, zmienia się każdego niemal dnia. Bilety wstępu wędrują z ręki do ręki, a nie brak wśród tej publiczności pomysłowych przedsiębiorców, już to sprzedających bilety wstępu na salę, już to wypożyczających je za pewnem wynagrodzeniem, a w najgorszym razie za wysoką stosunkowo kaucyą. Powstał wprost specyalny handel biletami na rozprawę.

Wśród ciekawych większość stanowią panie, a te — z żalem to stwierdzić trzeba — traktują rozprawę przeważnie jako niezwykłe widowisko. Przychodzą do sali sądowej w pięknych, strojnych toaletach, wspaniałych, olbrzymich kapeluszach ostatniej mody, często uzbrojone w lornetki teatralne lub wytworne lorniony.

A na sali rozgrywa się wielka, prawdziwa tragedya. Borowska jest ciągle chora, a wysiłki fizyczne i umysłowe, spowodowane kilkunastodniową rozprawą, osłabiły ją do tego stopnia, iż w ostatnich dniach nie może o własnych siłach dojść do sali. Wnoszą ją więc na fotelu dwaj więźniowie, a smutnemu temu pochodowi towarzyszy lekarz więzienny dr. Smolarski i nieodstępna towarzyszka oskarżonej, pielęgniarka Ludwika Kamińska.



Dr. Stanisław Kwiatkowski, delegowany specyalnie przez Sąd do czuwania na Borowską na sali.

Nad zdrowiem Borowskiej czuwają stale dwaj lekarze. W więzieniu ma ją pod swą troskliwą opieką dr. Smolarski, na sali zaś pełni ciężki ten obowiązek dr. Kwiatkowski. Że opieka jest troskliwa, przyznała z wielką wdzięcznością i uznaniem oskarżona, dziękując lekarzom publicznie w czasie rozprawy.



Dr. Władysław Smolarski, lekarz więzienny.

Wszelkie te względy, uzasadnione z uwagi na stan zdrowia oskarżonej, przyznano jej celem umożliwienia prowadzenia rozprawy, która w innych dla oskarżonej warunkach nie mogłaby się była, przynajmniej w oznaczonym terminie, odbyć.

Mimo wyczerpania sił fizycznych, przy[illegible]ość



Sala rozpraw podczas zeznań świadka M. Dąbrowskiego, redaktora *Głosu Narodu* (2). Oskarżona Borowska (1) (Zdjęcie aparatem redakcyjnym).

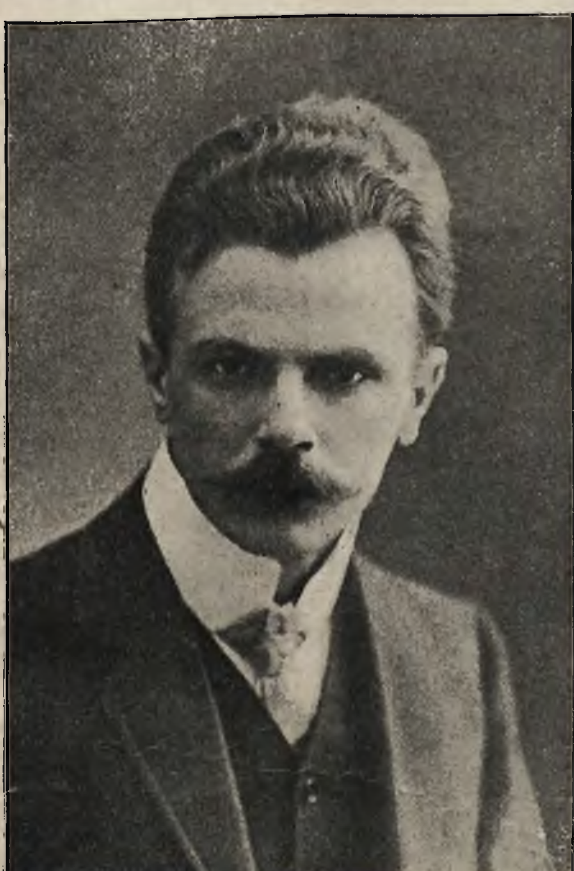
umysłu nie opuszcza Borowskiej nawet na chwilę. Z niesłabnącą uwagą przysłuchuje się zeznaniom każdego świadka, kontroluje je i porównywa z tem, co ci świadkowie zeznawali w śledztwie, a że jest obdarzona nadzwyczaj bystrą pamięcią, myli się bar-



Świadek dr. Dąbrowski, ostatni koncypient kancelaryi ś. p. Lewickiego.

dzo rzadko. W obronie swej, jak poprzednio, jest wciąż konsekwentna, a tylko nerwy podniecone narkotykami, unoszą ją często za daleko, przychodzi też codziennie do ostrych starć i konfliktów, zwłaszcza gdy zeznania któregoś ze świadków zwracają się przeciw niej.

Zadanie więc obrońcy, adwokata dra Szalaya, jest bardzo trudne, mimo stanowczości i konsekwencyi oskarżonej. Sporo energii bowiem musi zużyć



Świadek dr. Bogdani, b. koncypient kancelaryi ś. p. Lewickiego.

na uspakajanie Borowskiej i powstrzymywanie jej od najrozmaitszego rodzaju wybryków. Zachowanie się zaś dra Szalaya w czasie rozprawy jest dowodem bardzo głęboko i pięknie pojętych obowiązków.

Ważniejsi świadkowie zostali już prawie wszyscy przesłuchani. Zeznawał więc koronny świadek oskarżenia, doktorand medycyny Andrzej Bylicki, który jako dobry znajomy obojga Borowskich, pośredniczył między nimi a ś. p. Lewickim w sprawie objęcia przezeń obrony Borowskiej przeciw *Naprzodowi*, a następnie w sprawie wzajemnego oddania listów, który dalej pośredniczył między ś. p. Lewickim a red. Szczepańskim w ich zatargu i był bardzo dokładnie poinformowany o przebiegu całej tej sprawy. Zeznawali również obszernie profesor inż. Henryk Mianowski i redaktor Szczepański. Pierwszy stykał się bardzo często z oskarżoną tuż przed czasem krytycznym i rzucił sporo światła na jej ówczesny stan psychiczny, drugi zaś przedstawił bardzo dokładnie i szczegółowo zawikłaną aferę swoją ze ś. p. Lewickim, tę aferę, o której w ciągu rozprawy tyle się mówiło i która miała być jedną z przyczyn samobójstwa Lewickiego, dalej personal kancelaryjny ś. p. Lewickiego, sekretarka p. Stefania Jasińska i koncypient dr. Tadeusz Dąbrowski, oraz były koncypient dr. Bogdani. Interesujące a niepozbawione momentów humorystycznych były zeznania posługaczki ś. p. Lewickiego, Nawrotowej, która najdokładniej może znała jego zwyczaje i obyczaje. Tych samych kwestyi dotyczyło przesłuchanie p. Lachowskiego, właściciela kamienicy, w której ś. p. Lewicki mieszkał przez szereg lat.

Pożar parlamentu tureckiego.

(Do illustracyi na str. 9.)

Zdawałoby się, że eks-sułtan Abdul Hamid, zamknięty i pilnie strzeżony w swym pałacu więziennym w Salonikach, nie może już obecnie być groźnym dla nowych rządów w Porcie. Reakcya po zdobyciu Konstantynopola przez wojska młodotureckie została raz na zawsze złamaną i nikt nie przypuszczał, by kiedykolwiek zowiący się „liberałami" reakcyoniści, mogli się odważyć na zamach przeciw parlamentaryzmowi tureckiemu.

A jednak pożar gmachu parlamentu tureckiego dowiódł, że sprytnie zorganizowany zamach ugodził w samo centrum życia konstytucyjnego młodej Turcyi i dowiódł, że reakcya turecka nie zarzuciła myśli podjęcia na nowo walki przeciw nowym rządom.

Pałac Cziragan, w którym mieścił się parlament, był bezsprzecznie jednym z najwspanialszych pałaców sułtańskich nad Bosforem. Pożar, który wybuchł w d. 19 b. m. i szalał przez 11 godzin bez przerwy mimo wytężonej akcyi ratunkowej tak straży pożarnej jak i załóg okrętów rosyjskich, włoskich i niemieckich, zniszczył ten prawdziwy monument architektury tureckiej doszczętnie. W ostatniem stadyum pożaru zawalił się dach pałacu, tak że tylko mury i marmurowa fasada oparły się pożarowi. Przez puste otwory okien można dziś widzieć spalone sale i obserwować zniszczenie, dokonane przez pożar.

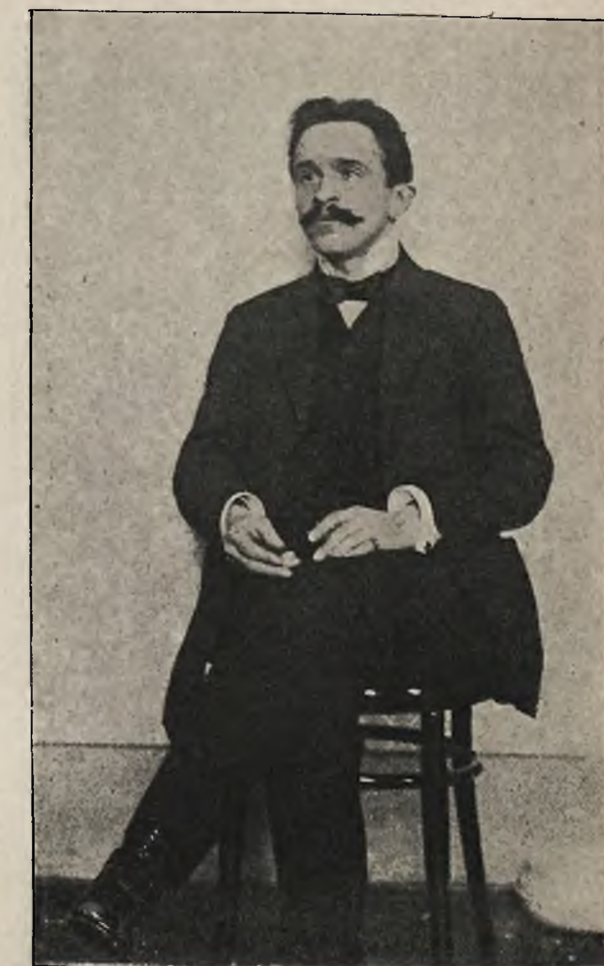
Jako przyczynę pożaru wymieniano początkowo oficyalnie wybuch w kaloryferach. Ta okoliczność jednak, że zaraz po wybuchu pożar ogarnął wszystkie części pałacu, świadczy, że ogień był podłożony. W Konstantynopolu utrzymuje się powszechne przekonanie, że pożar pałacu Cziragan został zorganizowany przez reakcyonistów, a śledztwo policyjne, idąc za głosem opinii publicznej, jest już na tropie sprawców.



Świadek Konstanty Lachowski, właściciel realności, w której mieszkał ś. p. Lewicki.

Sułtan, otrzymawszy wiadomość o pożarze, rozpłakał się, gdyż gmach ten zwykł był nazywać „podarunkiem swym dla narodu tureckiego".

Szkodę obliczają ogółem na 70 milionów franków. Podczas pożaru nikt z ludzi nie zginął. Zdo-



Świadek prof. inż. Henryk Mianowski.

łano nawet uratować część sprzętów; nie wyratowano jednak licznych dzieł sztuki, które stały się pastwą płomieni.

Rycina nasza przedstawia gmach parlamentarny bez dachu, na drugi dzień po katastrofie.

Gabinet liberalny na Węgrzech.

(Do illustracyi na str. 10).

Nowy gabinet węgierski z hr. Khuen Hederváry'm na czele, uporał się już z formalnościami, uzy-



Świadek Małgorzata Nawrotowa, posługaczka ś. p. Lewickiego.

skał zatwierdzenie i tymi dniami staje w sejmie celem przedłożenia nowego programu prac.

Z nominacyą gabinetu hr. Khuen Hederváry'ego zdawałoby się, że przesilenie na Węgrzech się zakończyło. Tymczasem stwierdzić należy, że przesilenie nie tylko nie skończyło się, ale weszło jeszcze w ostrzejsze stadyum. Nowy gabinet niema w sejmie nie tylko większości, ale brak mu nawet ludzi, którzyby otwarcie swemi sympatyami doń się przy-

znać chcieli. Tak grupa Justha jak i Kossutha zajęły wobec nowego gabinetu stanowisko wrogie, przyczem i to zaznaczyć należy, że stronnictwo ludowe również zajęło wobec hr. Khuen Hederváry'ego stanowisko skrajnie opozycyjnie.



Świadek Włodzimierz Kuryluk, rygorozant medycyny.

Nawet liberali węgierscy, pod których płaszczykiem wstępuje na arenę polityczną nowy gabinet, nie chcą otwarcie przyznać się do popleczników hr. Khuen Hederváry'ego i dla zamaskowania się postanowili nie głosować za votum ufności dla nowego rządu.

Wobec faktu, że nikt za zaufaniem dla nowego gabinetu głosować w sejmie węgierskim nie będzie, niewątpliwie nastąpi rozwiązanie sejmu, a nowe wybory zadecydują o przyszłości polityki węgierskiej.

Nowe skandale księcia serbskiego.

(Do illustracyi na str. 10).

Ks. Jerzy serbski od czasu do czasu musi dać znać prasie europejskiej o sobie.

W czasie napięcia stosunków dyplomatycznych Austro-Węgier z Serbią, wypłynął na barkach rozpalonych głów, a temperament unosił go aż tak daleko, że nawet wówczas, gdy odpowiedzialni kierownicy polityki królestwa serbskiego mogli byli spokojnem stanowiskiem otrzymać od Austryi w re-



Świadek Ludwik Szczepański, redaktor *Nowin.*

kompensacie za aneksyę Bośni i Hercegowiny znaczne ustępstwa natury ekonomicznej, ks. Jerzy jako następca tronu, był tym czynnikiem, który prowadząc politykę na rachunek własnej nieodpowiedzialności, psuł szyki dobrze widzianemu w Wiedniu ministrowi spraw zagranicznych Milovanowiczowi, ustawicznem prowokowaniem Austryi.

Z chwilą, gdy przesilenie austryacko-serbskie zostało zażegnane, usunął się królewiczowi teren z pod nóg do uprawiania ulicznej polityki. Kompromitująca go w wysokim stopniu afera z jego służącym, którego pobił tak dotkliwie, że ten [illegible] wyzionął, położyła kres wybrykom [illegible] jako królewicza. Zmuszono go do p[illegible] mocą którego zrzekł się praw do tronu, a dwór belgradzki z tą chwilą odetchnął swobodniej, bo pozbył się małoletniego i nie dającego się poskromić w swych wybrykach awanturinka narwańca.

Zdawało się, że odebranie ks. Jerzemu charakteru i tytułu następcy tronu położy kres jego awanturniczości. Ale krewki książę nie pozwolił o sobie światu zapomnieć. Oto na balu dworskim zetknął się z prefektem miasta, Alimpiszem, przeciw któremu czuł specyalną nienawiść z tego podobno powodu, że Alimpisz otoczył go ajentami policyjnymi, którzy w dość natrętny nawet sposób śledzili każdy jego krok. Zobaczywszy Alimpisza na balu, obsypał go najostatniejszemi obelgami i nagadał mu takich impertynencyi, że obrażonemu prefektowi nie pozo-



Świadek Maryan Dąbrowski, redaktor *Głosu Narodu.*

stawało nic innego, jak zabrać żonę i natychmiast z sali balowej się ulotnić.

Po stronie Alimpisza stanęli wszyscy ministrowie, którzy zażądali od króla, aby ks. Jerzego bezzwłocznie z Belgradu wydalił. Przeniesienie awanturniczego królewicza do jednego z garnizonów prowincyonalnych miało być satysfakcyą dla obrażonego prefekta policyi belgradzkiej.

Ale i w tym wypadku ks. Jerzy stanął w poprzek zamiarowi króla Piotra i oświadczył, że raczej złoży szarżę oficerską, a nie da się podstępnie z Belgradu usunąć.

Że książę Jerzy nie myśli seryo o złożeniu szarży oficerskiej i wycofaniu się z armii, pośród której do dziś dnia liczy jeszcze wielu zwolenników, świadczy fakt, że umyślnie zranił się w rękę by odwlec przymusowy wyjazd z Belgradu. W ten sposób uzyska on jeszcze kilkunastodniową zwłokę, podczas której spodziewa się skłonić ojca do cofnięcia tego tak dlań przykrego rozkazu.

Zdaje się, że długo jeszcze Serbia będzie zdaną na łaskę i niełaskę awanturniczego królewicza, zanim się wkońcu odważy na zmuszenie go do opuszczenia granic królestwa.



Śmierć Menelika: Przedstawiciele mocarstw europejskich, opuszczający dom Menelika po złożeniu kondolencyi żałobnych.

Albert Boissiere.

Człowiek bez twarzy.

7 (Ciąg dalszy).

— Nie pozbyłem się pragnienia... zdobycia testamentu, złożonego w *Oil Banku*...

— I udało ci się to dzięki przekupstwu urzędników, który mieli strzedz nienaruszalności testamentu? — rzekłem zainteresowany tem...

— Tak, dopuszczono mnie do skrytki w banku, gdzie znalazłem w niej jednak testamentu!

— Och!... och!

— Jesteś niemożliwy ze swojem och! i ze swojem ach! Był tam tylko zwykły bilet, adresowany do Williama z temi słowami: „Mój synu, trzeba mieć się na baczności z Joe Duncanem. Idź z tym biletem do dyrektora *Oil Banku*, który ci wręczy przeznaczone dla ciebie papiery“. Uśmiechnąłem się na tak naiwną przezorność i zabrałem bilet... Sądziłem, że w ten sposób William po dojściu do pełnoletności zastanie skrytkę pustą... Oddałem się cały interesom. Od nieszczęśliwej śmierci Jonatana sam musiałem dźwigać cały ich ciężar... i to mnie broniło od innych myśli, o Nelly, o Williamie, o mej niemiłej przygodzie małżeńskiej. Od Williama uwolniłem się w ten sposób, iż ulegając jego prośbie, pozwoliłem mu jechać do Francyi studyować medycynę... Gdy skończył dwadzieścia jeden lat, zgłosiłem się do *Oil Banku* z tym biletem w zapieczętowanej kopercie, udając, że pochodzi on od mego syna... dyrektor, który był jednym z mych przyjaciół, nie robił mi żadnych trudności i wydał mi drugi list Nelly Burlington. Ta piekielna kobieta, by zadrwić ze mnie, napisała tylko to: „Nie mogę nic innego uczynić, jak tylko powtórzyć ci, że przed Joe Duncanem trzeba mieć się na baczności“. To było wszystko. Zostałem wystrychnięty na dudka!... Przewidziała, że mogę wydostać testament i dlatego też wprowadziła mnie przed śmiercią jeszcze na fałszywą drogę!... Wpadłem w jej pułapkę...

— I cóż z tego! — przerwałem, popijając herbatę — ...najprawdopodobniej nie zostawiła żadnego testamentu.

— Co? musiała zostawić! — uniósł się milioner. Najlepszy dowód mam w tem, iż William od skończenia swego dwudziestego roku ciągle mnie hańbi, lekceważąc stanowisko, do jakiego ma prawo, gardząc majątkiem i uważając mnie za obcego! Rozumiem się dobrze na jego obojętności... On mnie nienawidzi... Ja jego nienawidzę!... Jeżeli matka zostawiła mu rozkaz pomszczenia jej kochanka, ja pomszczę na nim zniewagę, wyrządzoną mi przez Nelly Burlington. Na to daję słowo Duncana!... Przekona się pan!...

Wyznanie to pogrążyło mnie w gorzkich rozmyślaniach... Jeszcze mniej, niż Joe, wierzyłem w przenikliwość Williama! Zrozumiałem teraz, dlaczego ten młody melancholijny lekarz uścisnął mnie tak gorąco podczas swej pierwszej wizyty i rzekł:

— Mój ojcze, jak jestem szczęśliwy, że cię odnajduję!

Zwiedziony pozorami, sądziłem, że zostałem odkryty, że czyni on aluzyę do mej istotnej osoby, jako do ojca Eweliny, swej narzeczonej!... Teraz wszystko się wyjaśniło... Mimo to przyjęcie na siebie postaci Jonatana przejmowało mnie lękiem... Co może stać się ze mną przy takim bandycie jak Joe — gdyż nie widziałem racyi, dlaczego zabójca Łucyi Weill, nie mógł być mordercą Brentana i trucicielem Nelly Burlington? Naraz zjawiła mi się nowa myśl.

— Przypuszczając, że William istotnie otrzymał od swej matki zlecenie pomszczenia swego ojca, to moje zmartwychwstanie po dwudziestu latach może osłabić w nim uczucie nienawiści?

— Liczę na to! — odpowiedział zimno Joe... Liczę na pańską wyobraźnię w odgrywaniu tej trudnej roli, zwłaszcza obecnie, gdy dowiedział się pan głównej rzeczy... A przedewszystkiem liczę na miłość Barrabasa do swej córki Eweliny, na to, iż nie straci on nigdy z uwagi swego własnego interesu... i mojego...

— Pańskiego?

— Później o tem!... Później... Pan musi mnie tyle ufać, ile i ja panu!... Niechże pan będzie na wysokości swego zadania...

— A jeżeli on poweźmie pewne co do mnie podejrzenia?

Joe roześmiał się głośno.

— Ach, tak! A któż uwierzy, że król papierowy pozbywa się stupięćdziesięciu milionów dolarów, dlatego tylko, by swemu zwaryowanemu synowi, który chce żenić się z córką Barrabasa, rzeźbiarza podejrzanego o zabójstwo swej żony, oddać prawdziwego ojca, zaginionego od dwudziestu lat a zarazem byłego kochanka Nelly Burlington?

Podniósł się i zaczął chodzić po pokoju.

— A pańskie papiery... papiery prawdziwego Brentana, które pan odbierze z merostwa, gdyż Łucya Weill okazała się nam zupełnie zbyteczną i ten czek na sto tysięcy dolarów — podał mi przytem przekaz bankowy — stanowić będą pierwszy punkt naszej umowy, prawda?

Potem oparł swe ręce na mych ramionach i dodał:

— Widzisz więc, mój drogi Jonatanie Brentano, mój stary przyjacielu i wspólniku, iż po dwudziestu latach rozłączenia, nie należy przypominać przeszłości!... Przeszłość to jest dla nas przykrą zmorą! Nie mówmy o niej!

I potrząsając mną silnie, jakby chciał dodać mi w ten sposób odwagi, zakończył:

— A więc wygraliśmy pierwszą część kampanii!... Chodzi teraz tylko o to, abyś, znając już prawdziwą historyę prawdziwego Brentana, nie zagapił się i nie pokpił wszystkiego.

W chwili tej zajechał przed pojazd samochód, z którego wyskoczył zgrabnie William Duncan, narzeczony mej Eweliny. Jakiż kontrast stanowił ten młody elegancki człowiek o miłej twarzy i o wielkich melancholijnych oczach, z tym brutalem Joe o czerwonych od trunków policzkach. Widzę go jeszcze, jak podbiega z otwartemi ramionami ku mnie i całując me drżące ręce, szepcze oburzony:

— Dlaczego nikt mnie nie zawiadomił o tem strasznem nieszczęściu?... Master Brentano, czyż nie jestem wart pańskiego zaufania?... A ty mój... czcigodny ojcze, dlaczego okazujesz mi tę nieufność?... Ach, oburzony jestem na Marcadiana, iż taił przedemną tę wiadomość aż do pańskiego wyzdrowienia!...

Łzy płynęły mu z oczu, podczas gdy Joe Duncan słuchał z gorzkim i dumnym uśmiechem na swych wygolonych wargach tego wylewu uczuć, które nagle przerwał swym gburowatym głosem.

— Powinieneś się cieszyć, mój synu, iż dzięki tylko cudowi Brentano ostał się przy życiu! Wiem, że znasz obowiązki gościnności i dlatego też dla dokończenia jego rekonwalescencyi wybrałem twój dom.

— Naprawdę! — zawołał William, nie mogąc pohamować swej radości — nie mógłbym znaleść lepszej sposobności do okazania panu Brentano mego bezgranicznego przywiązania...

Nie pytał nawet, co się stało z Łucyą Weill. Z jakąś gorączkową niecierpliwością naglił mnie do wyjazdu. Ściskał mnie ciągle i powtarzał:

— Ach! jak my będziemy szczęśliwi razem! Tyle rzeczy mamy do opowiedzenia sobie!

— Codziennie będę przychodził odwiedzać cię, Jonatanie — przerwał Joe.

— Sprawi nam to wielką przyjemność — odparł William.

Miljoner osobiście zamknął drzwiczki samochodu i pożegnał mnie przyjacielskim uściskiem ręki.

— Do miłego widzenia, drogi przyjacielu!

Gdy tylko wyjechaliśmy za ogrodzenie parku, William, mój przyszły zięć, zarzucił mi ręce na szyję i przyciskając do siebie, zawołał:

— Ach! mój ojcze! mój drogi ojcze! Ty żyjesz, śmierć nie zabrała mi ciebie!

Wzruszenie jego udzieliło się i mnie i w oczach ukazały mi się łzy. Z rozrzewnieniem spojrzałem jeszcze raz na ten pałacyk, w którym spotkało mnie rzeczywiście tyle krzywd, lecz w którym zarazem znalazłem opatrznościowe schronienie dla siebie i zabezpieczenie losu mej ukochanej córki? Wyjeżdżając z Neuilly nie mogłem przewidzieć, co mnie czeka z drugiej strony Paryża, w Saint Maude, gdzie znajdował się dom Williama. Wiedziałem tylko to, iż spadła zasłona po pierwszym akcie dramatu, który zaczął się dla mnie tak boleśnie. Dzisiaj, gdy przeszedłem już przez wszystkie etapy cierpienia, mogę powtórzyć tylko swe słowa, iż to, co się stało ze mną dotychczas, było drobnostką w porównaniu z tem, co musiałem jeszcze przecierpieć.

VII.

Joe nie kłamał tym razem. Portret Nelly Burlington, jaki znalazłem w mieszkaniu swego przyszłego zięcia, przedstawiał rzeczywiście cudownie piękną kobietę. Gdy pewnego razu przypatrywałem się temu obrazowi, William, który mierzył mnie uczucia wzdłuż swoich, podszedł ku mnie i rzekł czułym głosem:

— Ty, ojcze, jak i ja, nie możesz oderwać swych rozkochanych oczu od tego portretu.

W odpowiedzi na to zapytałem go niespodzianie:

— Kiedy zdecydujesz się pokazać mi testament swej matki... testament Nelly Burlington?

— Dlaczego ojciec nie mówi wprost Nelly? Po co skrywać swe czyste i szlachetne uczucie, od którego nie powinniśmy się rumienić! Czy naprawdę chce ojciec poznać ostatnie zlecenia matki?

— Owszem, chcę!

— Nie jest to, właściwie mówiąc, testament.

— Tak... tak... Domyślam się. Są to raczej, jak powiedziałeś, ostatnie zlecenia.

— Rzeczywiście. Zmuszeni jednak jesteśmy uznać, iż są one niesłuszne, gdyż..

Przerwał nagle zaczęte zdanie i dodał:

— Pójdę zaraz po ten papier, chociaż on przywodzi na pamięć smutne wspomnienia.

I pozostawiając mnie samego, udał się do swego gabinetu.

Od ośmiu dni, które spędziłem już w jego domu, zacząłem powracać do zwykłego życia. Z westchnieniem ulgi opuściłem pałacyk w Neuilly, w którym doznałem tylu bolesnych wrażeń. Nie wątpiłem o tem, iż nowe życie zaczyna się przede mną. Niestety! nie wiedziałem, dokąd mnie ono doprowadzi, otoczony jednak troskliwością Williama, odpoczywałem w spokoju po swych tragicznych przejściach. Joe odwiedzał nas codziennie. Zamieszkał ostatecznie w jednym z hoteli na Polach Elizejskich i zdawał się być tak przejętym sprawami, które powinny być zarazem i mojemi, iż prawie wcale nie zajmował się losem swego syna. Nie przestawał jednak być strasznym w swej obojętności i cynizmie na grę, jaką zaczęliśmy. Naprzykład rzekł mi pewnego razu:

— Wiesz, Brentano, w zeszłym tygodniu spaliły się dwie nasze fabryki w Pensylwanii. Jest to na czysto strata trzech milionów. Czy zgodziłbyś się, byśmy odbudowali je, ale koło Chicago, gdzie robotnik jest tańszy?

Udając zainteresowanie naszemi wspólnemi sprawami, zgadzałem się na wszystkie jego żądania. W ten sposób poznałem cały bieg jego interesów. Oprócz papierów Jonatana Brentano, wręczył mi także cały plik rozmaitych dokumentów, które od tygodnia wertowałem, by wiedzieć wszystko, co było potrzebnem dla utrzymania się z powodzeniem w przyjętej na siebie roli. Gdy wspominam tu o jego cynizmie, muszę zaznaczyć zaraz i swój cynizm, z jakim go naśladowałem. Nieraz sam poddawałem się złudzeniu co do swej istotnej osoby, a przez miłość dla Eweliny, która miała się stać żoną Williama, musiałem go utrzymywać w błędzie co do siebie... Smutkiem mnie tylko przejmowało zbliżanie się terminu, jaki naznaczył Joe: „Za cztery miesiące będziemy w Nowym Jorku“.

Postanowiłem sobie, że po ślubie Eweliny z Williamem nie zgodzę się na wyjazd za Ocean... Perspektywa tej podróży wcale mi się nie uśmiechała... i zdecydowany byłem na wszystko, na wyznanie nawet swego właściwego nazwiska, byle tylko nie sprzedawać do reszty swej wolności. Nie wiedziałem jeszcze, jakich środków użyję na przeprowadzenie swego zamiaru... Nie chciałem nawet o tem myśleć. Główną moją troską było teraz, bym się sam nie zdradził, pewny bowiem byłem, że nikt mnie już nigdy nie pozna. Poza tem czułem się od tygo dnia zupełnie szczęśliwym!... Byłem zwłaszcza szczęśliwym przy Williamie Duncanie, w jego domu zdrowia, gdzie dwudziestu pięciu obłąkanych obojga płci znajdowało dla siebie tyle dobra, ile ja zaznałem zła w pałacyku króla papierowego!...

Powrót Williama przerwał me rozmyślania...

— Proszę, znalazłem ten testament — rzekł, podając mi złożony pożółkły papier.

Ostrożnie rozłożyłem go na stole... William nachylił się z czułością nad mem ramieniem i zapytał:

— Poznaje ojciec jej drogie pismo?

Kiwnąłem potwierdzająco głową i odezwałem się:

— Z *Oil Banku* wręczono ci ten dokument?

William uśmiechnął się...

— Matka wszystko przewidziała... tam oddała fałszywy testament, prawdziwy zaś złożyła u twego, ojcze, bankiera, Silversmutha z Bostonu.

— Ach! u Silversmutha! — potwierdziłem machinalnie, choć pojęcia nie miałem, że istnieje taki bankier.

Z dokumentu tego dowiedziałem się o ostatnich chwilach Nelly Burlington i o jej pośmiertnem zleceniu dla syna. Z dumą wyznawała przed swem dzieckiem całą prawdę i wyjawiała rodzaj śmierci, jaki wybrała, by spotkać się na tamtym świecie ze swym kochankiem. Wprost oskarżała swego męża o zamordowanie Jonatana i na syna składała obowiązek pomszczenia go!...

Z tego wszystkiego nie wiele dowiedziałem się nowego, gdyż poza wyrazami gorącej miłości dla

Jonatana Brentano, którą nie mógł się przejąć Barrabas, znajdowały się tu fakty, opowiadane mi już przez Joego. Nauczyłem się z tego jednej tylko rzeczy, a mianowicie, bym nie ufał zbytnio swej wyobraźni. Znając już bowiem cynizm amerykańskiego milionera, posądziłem go o otrucie własnej żony. Byłem prawie przekonany o tem, a tymczasem z dokumentu tego okazuje się zupełnie co innego. Doznałem z tego powodu jakby pewnej ulgi. Natomiast stanowisko Williama względem Joe Duncana, wydało mi się teraz bardzo dziwnem.

Ja sądziłem, że Joe zabił Nelly i Brentana, jej kochanka... a obecnie przekonałem się, że co do Nelly byłem w błędzie.

William uważał przez dłuższy czas swego ojca za mordercę Jonatana... Teraz musiał się przyznać do swej pomyłki, ponieważ Jonatan Brentano żył dla niego w postaci rzeźbiarza Barrabasa.

— Wobec tego — rzekłem poważnie — sprawa cała nabiera dla nas obojga zupełnie innego znaczenia.

— Nie rozumiem dobrze.

— Widocznem jest dla mnie, że nie kochasz Joego, którego tyranię musiała znosić twoja matka... Przyznasz jednak, że odkąd mnie widzisz, nienawiść, jaką żywisz dla niego, straciła wiele ze swych podstaw.

— Zgadzam się. Wyznam nawet, iż nienawiść ma zamieniła się w obojętność... Lecz co się ciebie, ojcze, dotyczy...

— Och, ze mną jest inaczej... Znasz powody, dla których od dwudziestu lat byłem dla całego świata jakby umarły. Powtórzę ci jeszcze... Gdym cudownym prawie sposobem wydostał się z wód Niagary, skąd ja pierwszy wyszedłem żywy, miałem przed sobą dwie alternatywy. Albo wrócić do Nowego Jorku i zająć swe miejsce w spółce albo też zniknąć bez nadziei napowrót... Ze względów moralnych wybrałem to drugie... Przez matkę twoją zostałem uprzedzony w San Francisco, iż Joe wie o wszystkiem! Doznałem wyrzutów sumienia, iż zrujnowałem spokój domowy człowieka, który był moim przyjacielem, a który obecnie mógł zostać tylko mym nieubłaganym wrogiem... Nie z tchórzostwa postanowiłem usunąć się, lecz w ten sposób chciałem naprawić swą winę... Sądziłem, iż, gdy mnie nie będzie, może zapanuje między nimi zgoda. Przyznasz sam, iż potrzeba było pewnej dozy zaparcia się siebie, by zaczynać życie na nowo, pracować jak robotnik w Kalifornii, narażać się na ciągłe niebezpieczeństwa, znosić biedę i nędzę. I wytrwałbym w swem postanowieniu i nigdy nie wróciłbym do Nowego Jorku, gdyby opinia publiczna nie zwiodła mnie tak, jak i twą matkę...

Potrząsając przed oczami Williama tym pożółkłym papierem, mówiłem dalej:

— Ten testament pozwala mi obecnie na wyznanie, którego się wstydzę. Powróciłem w zeszłym roku niejako na świat, by pomścić twą drogą matkę. Dowiedziałem się przypadkowo w Filadelfii, iż Joe został wdowcem... a jak opinia publiczna twierdziła, on sam ją otruł w sposób tak tajemniczy, iż sprawa ta nie została wyjaśniona. Ani na chwilę nie wątpiłem o prawdziwości tych pogłosek...

— I ojciec zjawił się na nowo — przerwał podniecony mem opowiadaniem William — z tym tylko zamiarem, by...

— By pomścić twoją matkę — powtarzam ci — jak ty, drogie dziecko chciałeś pomścić na nim śmierć swego ojca!

— Ojcze mój! ojcze! — zawołał wzruszony William. Masz rację!... Sprawa ta jest przykra dla nas obydwu!... Nie możemy poważać Joe Duncana!... lecz z drugiej strony nie możemy żywić ku niemu nienawiści, ponieważ nie jest on ani twym mordercą, ani matki!...

— Więcej jeszcze! — rzekłem poważnie, odgrywając aż do końca swą rolę. — Zmuszeni jesteśmy odczuwać dla niego litość...

— Tak, tak!... Litości właśnie.

— Litość, wynikającą z wyrzutów naszych!

— Z naszych? — powtórzył William zdziwiony.

— Naszych, ponieważ go zniesławiliśmy.

— Nie mów tak, ojcze — przerwał William.

— Trzeba mieć odwagę wyznać wszystko, mój synu... Zapomnieć muszę o swych osobistych uczuciach, jakie mnie ożywiały przed dwudziestu laty, a przyznać się, że prawdziwą ofiarą tego dramatu jest Joe Duncan!

Z głową opuszczoną, z miną zasmuconą, młody lekarz szepnął:

— Tak, to prawda.

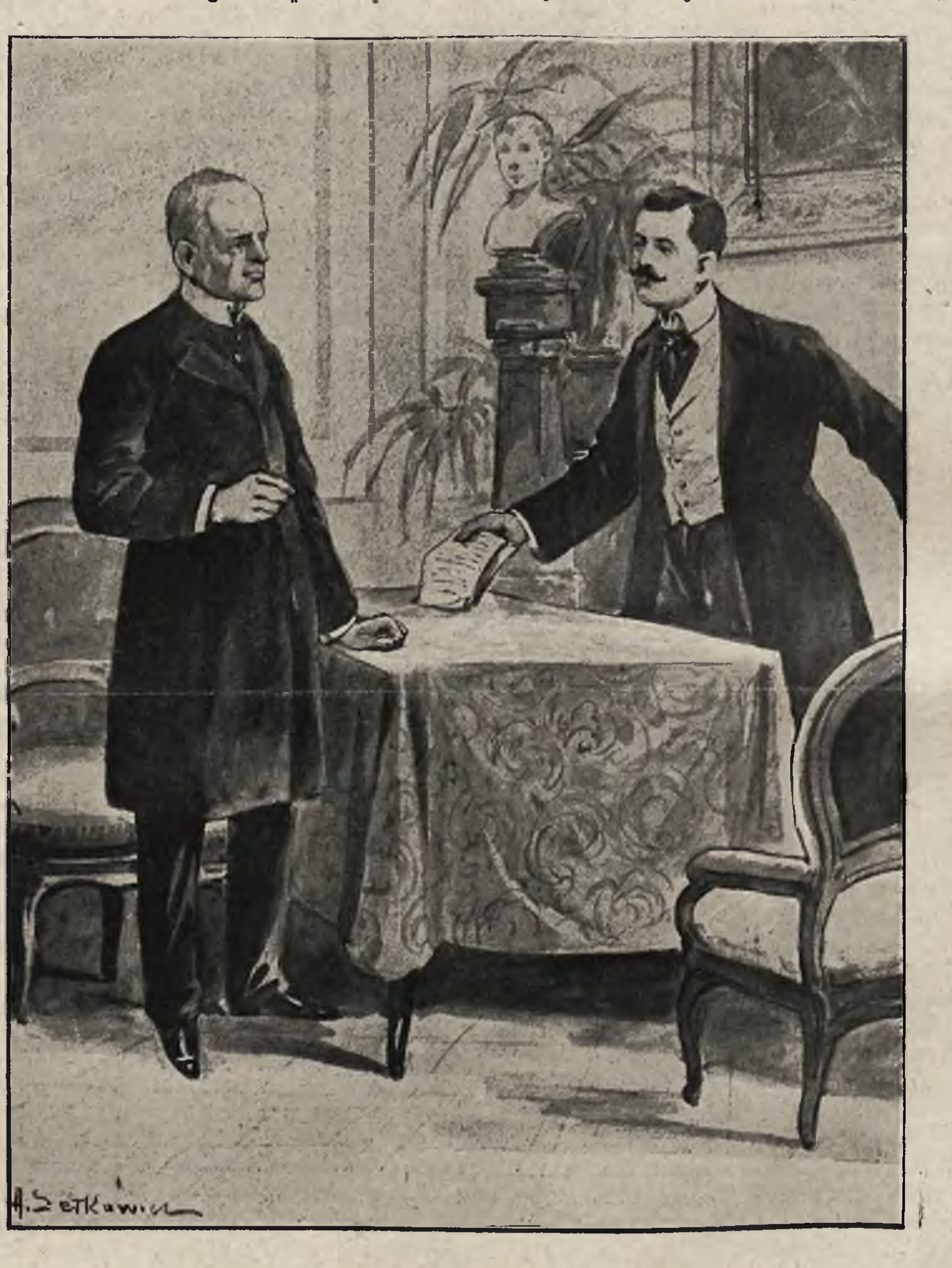
Rozmowę naszą przerwał dzwonek od telefonu... Podbiegł do niego.

— Hallo!... jak?.... ojciec nie przyjdzie?... Hallo!... Bardzo mi przykro... Tak... Do widzenia.

Założył słuchawkę i rzekł z zadowoleniem:

— Nie przyjdzie dziś na herbatę... bardzo się z tego cieszę... tak, bardzo się cieszę! A ty, ojcze?

— Williamie — odrzekłem — nie przyzwyczajaj się nazywać mnie tak!... Mów do mnie wprost, Jonatanie... Tytuł ojca zostaw dla tego człowieka, którego uczyniliśmy nieszczęśliwym... Należy mu



Proszę — znalazłem ten testament, rzekł podając mu złożony pożółkły papier.

się to!... Pomylisz się kiedy; raz mówisz „mój ojcze" mnie, drugi raz jemu.

— Sprawia mi to tak wielką przyjemność!

— Trudno, inaczej nie można — nalegałem. Zdradzisz się kiedy mimowoli.

William, przejęty swemi myślami — powtórzył:

— Cieszę się, że nie przyjdzie!

Ja pragnąłem czego innego. Chciałbym, by przyszedł — myślałem. — Chciałbym, by był tutaj za portyerą i zdał sobie sprawę z mej skrupulatnej uczciwości, jaką okazuję, odgrywając włożoną na siebie rolę.

William podszedł do stołu, na którym służący postawił poprzednio serwis do herbaty i zabrał z niego jedną filiżankę. Pozostało ich jeszcze cztery...

Wskazując na nie palcem — zapytałem:

— Czy zaprosiłeś jeszcze dwie osoby?

— Tak... chciałem ci zgotować niespodziankę.

— Jaką?

— Marcadian przyrzekł mi przyprowadzić po raz pierwszy narzeczoną! — odparł uśmiechnięty... Zobaczysz Ewelinę, Jonatanie! Jest to jedna z najpiękniejszych panien, prawdziwy skarb wdzięku i dobroci.

— Obecność moja może ją krępować, — zauważyłem z pewnym niepokojem... Winien byłeś uprzedzić mnie o tem, Williamie.

— Marcadian zna nasz wzajemny stosunek. Wtajemniczyłem go we wszystko.

— Źle zrobiłeś! — odpowiedziałem niechętnie.

— Ewelina bardzo chciała cię poznać.

Nie wiedziałem sam, co mam uczynić. Chodziłem bez celu po salonie, nie mogąc nic postanowić... Mam więc zobaczyć swą córkę!... Serce zaczęło mi bić silnie w piersiach.

— Oto i oni! — rzekł William, pospieszając ku drzwiom.

Skierowałem się instynktownie w najciemniejszy róg salonu i tam usiadłem. Otworzyły się drzwi i służący oznajmił przybyłych. Ewelina ze smutnym uśmiechem na ustach wydała mi się w swych żałobnych sukniach, raczej jakiemś zjawiskiem, niż żywym człowiekiem. Długie, czarne fałdy sukni, nadawały jej postaci wyraz jakiejś dziwnej powagi i spokoju, czego nigdy przedtem u niej nie widziałem. Poza czarną krepową woalką, zapuszczoną na bladą twarz, oczy jej świeciły jakimś nowym blaskiem.

Wystarczył mi jeden rzut oka, by przekonać się, jak bardzo młoda jej dusza dojrzała w cierpieniu. Zaszła w niej decydująca zmiana... Utraciła swą dziecięcą pustotę, zgasł jej naiwny urok młodego dziewczęcia, lekkomyślność w niej ustąpiła miejsca poważnej rozwadze!... Ze sposobu jednak podawania ręki Williamowi Duncanowi, z jej uśmiechu, pełnego smutku i czułości, domyśliłem się, że nie tylko boleść tu działała, lecz i miłość odegrała ważną rolę w tem przeistoczeniu się mego ukochanego dziecka.

Ewelina zwróciła się do mnie z wdzięcznym ukłonem, na który odpowiedziałem bez zakłopotania. Wzrok jej zatrzymał się na mnie przez jedną tylko chwilę, gdyż zaraz skierowała się w drugą stronę pokoju; nie mogła ukryć odrazy, jaką wzbudzała ma twarz. zdolna przestraszyć każdego. Natomiast Marcadian pospieszył ku mnie z wyciągniętemi rękami.

— Jak pan się czuje, master Brentano? Jest pan teraz szczęśliwy!... Master William wyznał mi wszystko... Proszę, niech pan uważa mnie za człowieka, w zupełności sobie oddanego, za prawdziwego przyjaciela!... Ach! życie dla wszystkich jest jednakowe... Życie jest tylko jednym łańcuchem następujących po sobie boleści!

— Dlaczego mecenas tak twierdzi? — zaprotestowałem, wskazując na Ewelinę i Williama, którzy stali przy oknie, zapatrzeni w siebie.

William trzymał za rękę Ewelinę, a z ust jego płynęła jakaś prośba, jakby pieśń miłości.

— To prawda! — rzekł Marcadian — i to jest mojem dziełem.

— Winszuję go panu!

— Bywają chwile, gdy wierzę w konieczność nieszczęścia w życiu!... Czy zna pan historyę Eweliny?

— Tyle co i William... co Joe... co wszyscy, chociaż mam swe osobiste zdanie o tym dramacie...

— Osobiste zdanie? — zdziwił się Marcadian, przypatrując mi się od stóp do głowy...

Służący zaczął podawać herbatę... Zbliżyli się ku nam William i Ewelina... Marcadian podsunął mi cukiernicę... córka przyglądała mi się teraz z mniejszym przestrachem, a za to z litością w oczach... Zamieniłem kilka zdań po angielsku z lekarzem, co wywołało tę uwagę Marcadiana:

— Mówi pan po angielsku z akcentem mego nieszczęśliwego szwagra, lecz daleko czyściej i płynniej...

— Tak — zawołała młoda panna, opuszczając głowę z twarzą, zasmuconą tem wspomnieniem. W brzmieniu głosu jest jakieś podobieństwo...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Swięto Jordanu.

Obrządek grecko-katolicki zachował po dziś dzień jeden z najstarszych obchodów kościelnych, odpowiadający pod pewnymi względami świętu Bożego Ciała w kościele łacińskim, a mianowicie święto Jordanu, którego integralną część stanowi poświęcenie wody.

W miastach większych, będących siedzibą urzędów i wojskowości, uroczystość Jordanu odbywa się zwykle z bardzo wielką okazałością i prawdziwie wschodnią pompą. Skromniej wypada w małych mieścinach lub wioskach ruskich, ale za to ma pewien specyalny charakter swojski, bardzo oryginalny.

Zupełnie analogicznie odbywa się ta uroczystość w kościele wschodnim, prawosławnym. Rycina nasza przedstawia uroczystość tę w jednej z wiosek na pograniczu austryacko rosyjskiem, nad Zbruczem. Widzimy tam wzniesione na rzece krzyże z lodu, a na brzegu tłum ludności, skupionej w około duchownego w szatach liturgicznych. Odbywa się właśnie akt poświęcenia wody w rzece, przyczem asystuje mu starszyzna gminna, a nadto przedstawiciele straży pogranicznej, żołnierze i żandarmi rosyjscy.



Święto Jordanu: Uroczystość poświęcenia wody w dniu Jordanu w jednej z wiosek na pograniczu austryacko-rosyjskiem nad Zbruczem.

Uroczystość rozpoczyna się nabożeństwem w cerkwi, a po poświęceniu wody, wracają uczestnicy procesyonalnie z powrotem do cerkwi, gdzie odbywa się dalszy obrządek.

Także w Rosyi, w miastach z garnizonem, w uroczystości Jordanu biorą udział przedstawiciele wojskowości, a oddziały honorowe w paradnych mundurach występują oficyalnie, zarówno w procesyi, jak następnie asystując przy ceremonii poświęcenia wody i oddając przepisane salwy. Wogóle święto Jordanu jest uroczystością bardzo wielką a ze względu na tradycyjną wspaniałość bardzo poważną.

Jasełka w Nowym Targu.

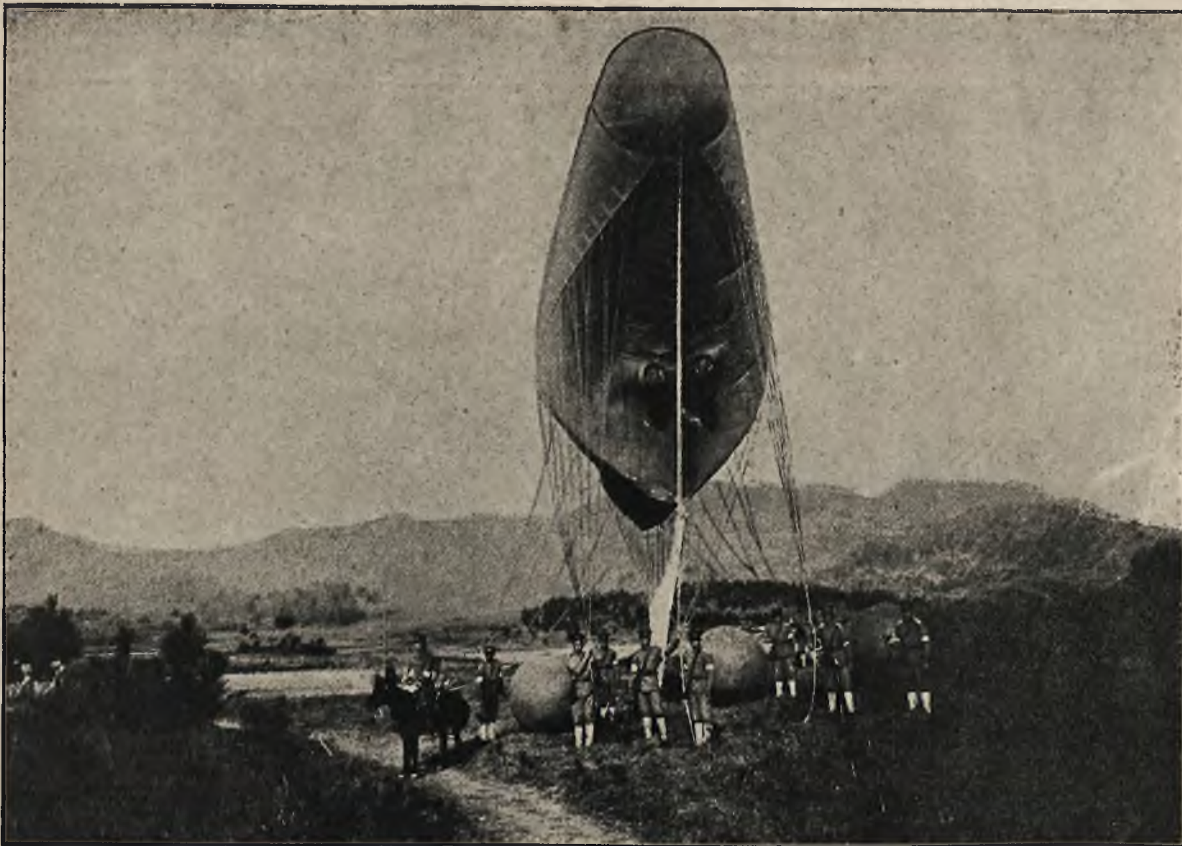
Uczniowie gimnazyum w Nowym Targu odegrali niedawno „Jasełka" w sali Sokoła. Na scenie ukazało się około 40 chłopców w malowniczych strojach góralskich i powitało gości odśpie



Jasełka w Nowym Targu: Uczniowie gimnazyalni, biorący udział w przedstawieniu, z prof. J. Orzechemw pośrodku.

...aynie i na specyalnie ...

waniem prologu. Następne cztery akty obejmowały znaną ogólnie akcyę, a więc nocleg pasterzy, zjawienie anioła z wieścią o narodzeniu Chrystusa w stajence, naradę pasterzy i przygotowanie darów dla Jezusa. Następna scena rozegrała się na dworze Heroda Agryppy, króla żydowskiego, który na podstawie proroctw, odczytanych przez kapłanów żydowskich, wskazuje Trzem Królom Betlejem, jako miejsce narodzenia nowego króla. W obawie o swój tron wydaje rozkaz mordowania niewinnych dziatek betlejemskich, lecz oto zjawia się kościotrup śmierci, aby mu zwiastować ostatnią chwilę jego życia. Tymczasem jednak zjawia się dyabeł, który odpycha śmierć i sam porywa Heroda. W końcowej scenie przesunął się przed oczyma widzów sympatyczny obraz pastuszków i Trzech Królów, składających hołd Dzieciątku w stajence betlejemskiej.



Pogłoski wojenne: Balon japoński na granicy mandżursko-rosyjskiej.

Ogólny tok akcyi zaczerpnięto z podręcznika Ks. Fr. Walczyńskiego, konieczne zmiany i uzupełnienia dodał oraz muzykę zaopatrzył profesor gimn. w Nowym Targu J. Orzech.

W przedstawieniu brali udział uczniowie od najmłodszych do najstarszych i wywiązali się z ról zupełnie zadowalniająco.

Pogłoski wojenne.

Od dłuższego czasu nie brak w prasie rosyjskiej objawów pewnego zdenerwowania z powodu stanowiska i postępowania Japonii na Dalekim Wschodzie. Pominąwszy już szpiegostwo, uprawiane przez Japończyków na wielką skalę, Rosya nie może patrzeć spokojnie na koncentrowanie przez Japonię coraz to większych sił zbrojnych w Korei i w Mandżuryi. Jeśli dodamy do tego, że niedawno między Chinami a Japonią doszło do ściślejszego zbliżenia, okaże się zrozumiałem zaniepokojenie prasy rosyjskiej najbliższymi wypadkami, jakie mogą się rozegrać na terenie ostatniej wojny w Azyi wschodniej.

Aczkolwiek oficyalne komunikaty Japonii zaprzeczają wszelkim pogłoskom o możliwości nowej wojny z Rosyą, to jednak w armi japońskiej, jak to stwierdzono, nie brak gorączkowych przygotowań. Naczelne kierownictwo armii japońskiej nie zapomina o zastosowaniu do celów wojskowych wszystkich zdobyczy nowoczesnej techniki i armia japońska została wyposażoną nie tylko w balony ale i w aeroplany, których użyteczność w wojnie dziś już nie ulega żadnej wątpliwości.

Balony japońskie na granicy mandżursko-rosyjskiej pełnią już dziś służbę wywiadowczą i odbywają dłuższe podróże, które dowodzą, że oficerowie japońscy w całej pełni zapoznali się już z tym nowoczesnym środkiem wywiadowczym.

Illustracya nasza przedstawia balon japoński w chwili wzlotu podczas służby w okolicy Onsjöng w Korei na granicy mandżursko rosyjskiej.

Warszawski „drapacz nieba".

Warszawa rozwija się, mimo ciężkich i niepomyślnych bardzo warunków, coraz piękniej i staje się miastem prawdziwie europejskiem. Jej piękność, jej wesołość, jej pełnia życia, to zalety znane ogólnie. I dlatego rodowici Warszawianie tak ją kochają, a obcy tak chętnie do niej się garną.

Nowym dowodem europeizowania się, a właściwie amerykanizowania się Warszawy, jest wzniesienie czternastopiętrowego gmachu, mającego służyć na pomieszczenie towarzystwa telefonów „Cedergren", gmachu, którego podobiznę — wówczas



Warszawski „drapacz nieba": Gmach towarzystwa telefonów „Cedergren", widziany z dachu czteropiętrowej kamienicy.



Warszawski „drapacz nieba": Czternastopiętrowy gmach towarzystwa telefonów „Cedergren", widziany z ulicy Królewskiej.

— Obecnoś nej

na podstawie rysunków projektowych — podaliśmy w swoim czasie w *Nowościach illustrowanych.*

Gmach ten, obecnie już prawie w zupełności wykończony, mierzy 50 metrów wysokości i przedstawia się nadzwyczaj okazale. Zasługa to w znacznej mierze twórcy projektu i kierownika budowy, budowniczego Rogóyskiego.

W najbliższym czasie zostanie nowy ten gmach, którego podobiznę dziś zamieszczamy, oddany do użytku publicznego.

Wybory w Anglii.

W ojczyźnie europejskiego parlamentaryzmu, w Anglii, wre od kilkunastu dni zaciekła, namiętna walka wyborcza, którą poprzedziła nie mniej namiętna agitacya. Toczą się tam mianowicie wybory do izby gmin, która odpowiada naszej izbie posłów w parlamencie. Walka rozgrywa się przedewszystkiem między dwoma potężnemi stronnictwami, a to między konserwatystami a liberałami. W ostatnich czasach u steru rządów byli liberali, konserwatyści byli w mniejszości. Obecnie chcą ci ostatni powetować swą klęskę z poprzednich wyborów i pozyskać znowu decydujący wpływ na kierunek polityki angielskiej.

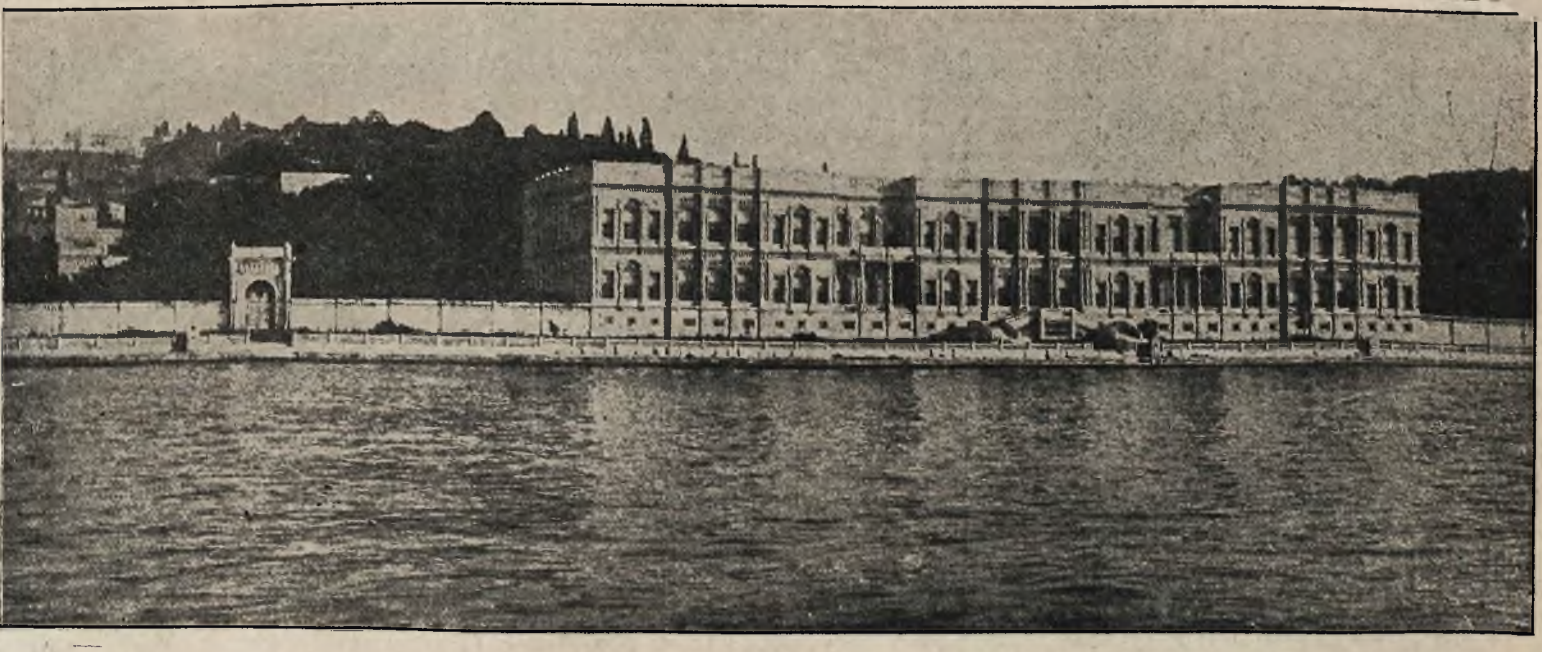
A choć wybory te dotyczą przedewszystkiem Anglii, nie mniej oczy całego świata śledzą z wielkiem zaciekawieniem przebieg walki wyborczej i oczekują z niecierpliwością ostatecznego jej wyniku, od niego bowiem w znacznej mierze zależeć będzie tok wypadków politycznych na całym kontynencie europejskim.

Stronnictwo liberalne bowiem pchało politykę angielską w objęcia niemieckie, ułatwiało przemysłowi niemieckiemu zbyt swoich towarów w Anglii, zamykało oczy na wzmagającą się potęgę morską Niemiec, potęgę zagrażającą hegemonii angielskiej na morzu. Konserwatyści zaś angielscy dążą do wprost przeciwnych celów. Chcą oni zamknąć za pomocą wyższych ceł granice Anglii i nie dopuścić do jej wnętrza wytworów przemysłu niemieckiego, chcą usiłowaniom niemieckim w dziedzinie marynarki wojennej przeciwstawić siłę jeszcze większą, doprowadzając choćby do starcia orężnego.

Do końca wyborów jeszcze daleko, na podstawie jednak dotychczasowych wyników stwierdzić można, iż liberali stracą sporo mandatów i wejdą do parlamentu znacznie osłabieni. A ta niepewność sytuacyi spotęgowała jeszcze siłę agitacyi wyborczej, która też przybrała rozmiary wprost niebywałe. Londyn przejęty jest do głębi toczącą się walką i bierze w niej żywy bardzo udział. Agitacya odbywa się ustnie i pisemnie, jak u nas, ale w rozmiarach, o jakich my nie mamy pojęcia. Zgromadzenia przedwyborcze odbywają się w dzień i wieczorami, w salach i pod gołem niebem, a przemawiają na nich kandydaci oraz ich agitatorzy.

Bardzo wymowna walka toczy się w prasie, nadto na ulicach za pomocą afiszów. Wielkość tych afiszów, dobór tematów i ich kolory, to coś bajecznego. A tłum, gromadząc się koło nich, przypatrując się rysunkom i odczytując dowcipy nieraz bardzo taniego gatunku, szaleje z radości i zadowolenia, zwłaszcza gdy treść dowcipu odpowiada jego chwilowym przekonaniom.

Napisy nieraz bardzo zwięzłe: ... dem, nie z lordami“, „Precz z op... wność“, „Precz z przywilejami“, ... cudzoziemców nie swoich“, „Głosujcie ... „Protekcya dla swoich“ i t. p.



Pożar parlamentu tureckiego: Pałac Cziragan nad Bosforem po katastrofie.

Match mistrzów-szachistów.

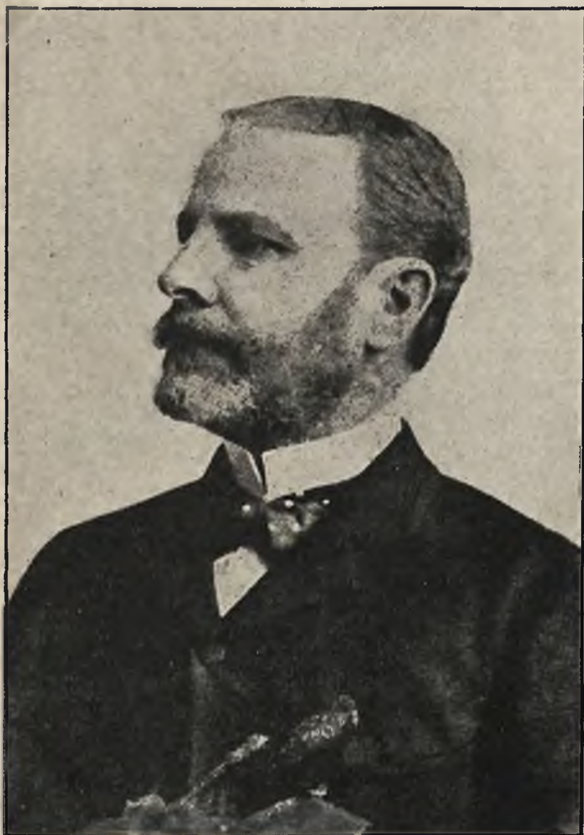
Gra w szachy należy do gier bezsprzecznie nie tylko najbardziej interesujących ale i wymagających największego wysiłku myślowego od gracza. Też to godzin prześlęczeć trzeba nad szachownicą, aby zapoznawszy się z zasadniczem posuwaniem figur, módz nabrać choćby jakiej takiej rutyny. Każda rozegrana partya daje tyle emocyi, jak żadna gra, a równocześnie każda nowa partya stawia graczа wobec coraz to nowych pozycyi, których korzystne rozwiązanie wymaga niejednokrotnie dość długiego namysłu.

Ten, który raz rozpocznie grę w szachy, musi nauczyć się wszelakich kombinacyi i szybkiego oryentowania się na szachownicy, gdyż w przeciwnym razie partya nie tylko nie jest interesującą, ale staje się wprost nudną. Gdy raz gracz osiągnie pewien



Wybory w Anglii: Afisze agitacyjne, rozlepione po murach domów w Londynie i na specyalnie w tym celu wzniesionych tablicach,

wanіem prologіości, nie może stanąć, bo gra w szawały znaną o do siebie, że poprostu zmusza „parrzy, zjawienіolenia ciągłych postępćw.
stusa w staszachy, tak jak każda inna gra, rozbunie darów nostce, biorącej udział w grze, ambicyę, „partnerów" do szlachetnej emulacyi myślo- której następstwem są liczne na całym świecie



Gabinet liberalny na Węgrzech: Nowy premier, hr. Khuen-Hederváry (najnowsze zdjęcie).

konkursy szachistów, będące prawdziwą atrakcyą nie tylko dla mistrzów-szachistów ale i dla tak licznych w każdem mieście amatorów.

Jeden z tych światowych konkursów szachowych rozgrywa się obecnie w Wiedniu, a stanęli doń między innymi dwaj światowi mistrze, dr. Emanuel Lasker i Wiedeńczyk Karol Schlechter.

Lasker w licznych partyach, rozegranych z pierwszorzędnymi graczami całego świata, nie został jeszcze przez nikogo pobitym. Schlechter może również poszczycić się szeregiem zwycięstw pięknych i wielkich. W r. 1900 zdobył on pierwszą nagrodę w Monachium, w r. 1904 w Koburgu, w r. 1906 w Ostendzie, a w r. 1908 w Wiedniu i w Pradze.

W warunkach obecnego konkursu ustanowiono 10 partyi, które obaj współzawodnicy muszą rozegrać. Z rozegranych dotychczas trzech partyi, należy wnosić, że Lasker będzie musiał dość się napocić, aby Schlechtera pokonać, albowiem wszystkie trzy partye zakończyły się *remis*, czyli nierozegraniem.

„Gromiwoja" na scenie miejskiej.

Po wieczne czasy stanowić będą arcydzieła literatury i sztuki greckiej wzór niezrównany, niedościgniony. Genialny ten naród, który wydał wielkich wodzów i bohaterów, wielkich poetów, rzeźbiarzy, śpiewaków, położył niespożyte zasługi około ugruntowania cywilizacyi całego świata. Literatura ich zawsze będzie budzić szczery podziw i zachwyt, choć od chwili powstania tych dzieł minęły tysiące lat.

W dziale komedyi takie niezrównane wzory stanowią utwory Arystofanesa. Autor wprowadza nas do domów ówczesnych ludzi, do ich świątyń i miejsc zgromadzeń, zaznajamia z codziennemi zajęciami Greków, z ich troskami, radościami i obyczajami, zaznajamia nas ze wszystkimi stanami i warstwami, z życiem ulicznem, z typami wszelkich kategoryi ludzi, słowem cała historya życia helleńskiego rozgrywa się w utworach Arystofanesa przed naszemi oczyma, owiana szczerym, naturalnym humorem.

Jednem z najcelniejszych dzieł wśród tych komedyi, jest Lysistrata, czyli „Gromiwoja", historya „pani w Atenach znacznej", która widząc, że ciągłe walki, toczące się wśród narodów helleńskich, niszczą je nawzajem, niszczą życie rodzinne i dobrobyt kraju, wezwała wszystkie kobiety, by celem zmuszenia mężów do zaniechania wojennych zapasów, wstrzymały sie od wszelkich wobec nich czułości. Cel osiągnęła. Wnet zawarto pokój panhelleński.

Arcywesołą tę komedyę wystawił niedawno teatr krakowski, w przekładzie prof. Edmunda Żegoty Cięglewicza. Zasłużony i znany już z innych w tym zakresie prac literackich tłómacz, zdobył tym ostatnim przekładem ogólne uznanie, a krytyka podniosła zgodnie nadzwyczajną wierność tłómaczenia, a równocześnie przepiękny język polski. Wiersz potoczysty, śliczny, jędrne, trafne i śmiałe wyrażenia, zrozumienie i odczucie epoki i stylu, oto pokrótce cechy charakterystyczne przekładów prof. Cięglewicza. To też komedyi Arystofanesa w przekładzie



Nowe skandale ks. serbskiego: Ks. Jerzy serbski.

jego słucha się z nadzwyczajnem zaciekawieniem, jak znakomitego utworu współczesnego. Zasługa to niewątpliwie tłómacza.

Także wystawa artystyczna i staranna, przyczyniła się do powodzenia sztuki na deskach miejskiego teatru, niejedno też jeszcze zapewne przedstawienie zapełni widownię.



„Gromiwoja" na scenie mie... scena komedyi Arystofanesa ... „Gromiwoja". (Zdjęcie redakcyjne).

A. K. GREEN.

KTO MORDERCĄ?

5

Policzki Eleonory zarumieniły się od gniewu.

— Nie byłam powiernicą tajemnic swej pokojówki — odpowiedziała dumnie.

— Więc pani nie może odpowiedzieć nam, dokąd ona udała się stąd?

— Naturalnie, że nie.

-- Mis Lavenfort, zmuszony jestem zadać pani jeszcze jedno pytanie. Według zeznań służby, pani kazała przenieść zwłoki stryja z biblioteki do sypialni: czy tak było w istocie?

W milczeniu pochyliła głowę.

— Czyżby pani nie było wiadomem, że według prawa nie można ruszać nieboszczyka przed przybyciem odpowiednich władz?

— W danym wypadku kierowałam się nie rozsądkiem, lecz uczuciem.

— Czy i wtedy rządziło panią uczucie, gdy zamiast iść do sypialni, gdzie złożono nieboszczyka, wolała pani zostać w bibliotece i wziąć ze stołu papier, który był widocznie bardzo potrzebny pani?

— Papier? — zapytała, podnosząc śmiało głowę. — Kto może twierdzić, że ja wzięłam ze stołu papier?

— Jeden ze świadków zeznał, że widział, jak pani nachyliła się nad stołem stryja swego, a drugi utrzymuje, iż widział, jak pani wyszła z biblioteki z papierem w ręku i schowała go do kieszeni. Z tych właśnie danych wyprowadziłem swój wniosek, miss Lavenfort.

Było to już więcej, niż prosty domysł; wszyscy śledzili bacznie, jak Eleonora przyjmie to wezwanie. Nie drgnęła jednak nawet lecz odpowiedziała stanowczo:

— Pan wywiódł taki wniosek i pańskim też jest obowiązkiem dowieść, że jest on słuszny.

Podobnej odpowiedzi nikt nie oczekiwał, nawet koroner zmieszał się, nie trwało to jednak długo.

— Miss Lavenfort — rzekł — jeszcze raz panią pytam, czy brała co pani ze stołu?

Złożyła ręce na piersiach.

— Odmawiam odpowiedzi na pańskie pytanie — powiedziała zupełnie spokojnie.

— Przepraszam, lecz pani koniecznie winna na to odpowiedzieć.

— Jeżeli pan znajdzie u mnie jaki podejrzany papier, wtedy powiem, skąd się on u mnie wziął.

Niezwykle stanowcza odpowiedź zupełnie zakłopotała koronera.

— Czy pani pojmuje, iż z odmowy pani będziemy musieli wyciągnąć odpowiednie wnioski?

Opuściła wzrok ku ziemi.

— Obawiam się właśnie tego — rzekła po cichu.

— A jednak pozostaje pani przy swem postanowieniu? — zapytał koroner.

Nic już na to nie odpowiedziała i koroner nie nalegał więcej. Było teraz zupełnie zrozumiałem, iż Eleonora nie tylko pojmuje grożące jej niebezpieczeństwo, lecz nawet gotowa jest bronić się do ostatnich sił. Nawet kuzynka jej, zachowująca dotychczas pozorny spokój, zaczęła jawnie niepokoić się. Przekonała się teraz, że obwiniać kogoś a być świadkiem, jak takie podejrzenia rodzą się w innych — nie jest tem samem.

— Miss Eleonoro — zaczął znowu koroner swe badanie, lecz w innej już formie — prawda, iż pani zawsze mogła wchodzić spokojnie do pokojów stryja swego?

— Owszem.

— Mogłaby pani wejść do jego pokoju w nocy, przejść przez sypialnię i podejść do niego, a on wcale nie zaniepokoiłby się tem, nawet nie odwróciłby głowy? Czy tak?

— Bez wątpienia — odparła, zaciskając nerwowo ręce.

— Klucz od biblioteki znikł, miss Eleonoro.

Nic na to nie odpowiedziała.

— Z zeznań świadków wiemy, iż po przeniesieniu zwłok stryja pani do sypialni, pani sama wyszła z biblioteki; nie zauważyła pani, czy klucz znajdował się w zamku?

— Nie było go tam.

— Przekonana jest pani o tem?

— Najzupełniej.

— Czy klucz ten wyróżniał się swą wielkością lub kształtem od innych?

Widocznem było, iż starała się skryć przestrach, jaki owładnął nią przy tem pytaniu i niby mimowoli spojrzała na służbę, a potem ledwie dosłyszalnie odpowiedziała:

— Klucz ten rzeczywiście był odmienny od innych.

— Na czem polega ta odmienność?

— Rączka jego była złamana.

— Poznałaby go więc pani, gdyby go pokazano?

Spojrzała z przestrachem na koronera, jakby obawiała się, że ujrzy ten klucz w jego rękach, nie widząc go jednak, odpowiedziała obojętnie:

— Owszem, poznałabym go.

— Dobrze — odparł, dając jej znak ręką, że badanie jej skończone, a zwracając się do przysięgłych, dodał:

— Panowie wysłuchali zeznań wszystkich mieszkańców tego domu.

W chwili tej podszedł do niego Grys, dotknął się jego ramienia i rzekł mu coś do ucha; potem powrócił na swe miejsce, prawą rękę wsunął do kieszeni, a wzrok zwrócił na lustro. Nie mogłem oddychać z obawy; czyżby on powtórzył koronerowi słowa, jakie usłyszeliśmy na górze w pokoju panien?

— Miss Lavenfort — rzekł koroner — mówiła pani, że wczoraj wieczorem nie wchodziła pani do swego stryja i wogóle nie była w jego pokoju. Czy podtrzymuje pani te słowa?

— Oczywiście.

Koroner spojrzał na Grysa, a wtedy ajent wyjął z kieszeni małą, zabrukaną chustkę.

— To dziwne — mówił dalej koroner — gdyż ta oto chustka, należąca bezwątpienia do pani, została znaleziona dzisiaj rano w pokoju zamordowanego.

Twarz Mary skrzywił wyraz przerażenia; Eleonora pozostała zupełnie spokojna i rzekła:

— Niema w tem nic dziwnego, gdyż dzisiaj rano byłam w tym pokoju.

— I tam ją pani zostawiła?

Nic na to nie odpowiedziała.

— Gdy ją pani tam zostawiła, była tak zabrukaną, jak teraz?

— Czyż ona brudna? proszę pokazać mi.

— Zaraz, przedtem przekonamy się tylko, w jaki sposób znalazła się ona w pokoju pani stryja.

— Mogło to się zdarzyć zupełnie naturalnie; naprzykład mogła ona tam leżeć kilka dni, gdyż, jak już wspomniałam, często bywałam w tym pokoju. Muszę jednak zobaczyć, czy to jest istotnie moja chustka — i wyciągnęła po nią rękę.

— Zapewne, że pani, gdyż jak mi mówiono, są na niej pani znaki — rzekł koroner, a jednocześnie Grys podał jej chustkę.

— Te brudne plamy — zawołała przestraszona — przecież to podobne...

— Podobne do tego, do czego musi być podobne; jeżeli pani, miss Lavenfort, czyściła kiedykolwiek rewolwer, to pani winna je znać.

Z wyrazem wstrętu rzuciła chustkę na podłogę i rzekła podniesionym głosem:

— Nic o tem nie wiem, tak, to moja chustka, lecz... — nie dokończyła zdania, tylko powtórzyła — nic o tem nie wiem.

Na tem skończyło się badanie.

Znowu wezwano służącą i zapytano ją, kiedy ostatni raz prała tę chustkę.

— Tę chustkę? — burknęła pod nosem — zdaje się, że w tym tygodniu — i spojrzała błagalnym wzrokiem na swą panią.

— Którego dnia?

— Jabym chciała o tem zapomnieć, miss Eleonoro, lecz nie mogę, przecież to jedna tylko taka chustka jest w całym domu: prałam ją przedwczoraj.

— Kiedy ją pani prasowała?

— Wczoraj rano — odpowiedziała, jąkając się.

— A kiedy pani odniosła ją do pokoju miss Eleonory?

Kucharka zakryła sobie oczy fartuchem.

— Wczoraj, z resztą bielizny, przed obiadem. Ja nie mogłam powiedzieć nieprawdy, miss Eleonoro — rzekła, płacząc.

Koroner zwolnił świadka i znowu zwrócił się do miss Eleonory z zapytaniem, co może dodać do powyższych słów. Eleonora nerwowo tylko zacisnęła ręce, w milczeniu kiwnęła głową i prawie bez czucia opadła na krzesło.

W pokoju nastała chwila ogólnego zamieszania, zwróciłem wówczas uwagę, iż Mary pospieszyła na pomoc swej kuzynce, lecz starania o nią pozostawiła pokojówce i kucharce. Po kilku minutach nieszczęśliwa młoda panna na tyle przyszła do siebie, iż odprowadzono ją do jej pokoju; zauważyłem także, iż zaraz za nią wyszedł jakiś jegomość o poważnej powierzchowności. Jeden z przysięgłych zaproponował przerwanie posiedzenia, widocznie i koroner pragnął tego, gdyż wstał i oznajmił, iż dalsze posiedzenie naznacza na następny dzień, na trzecią godzinę po południu. W sali pozostała miss Mary, Grys i ja.

IX.

Odkrycie.

Mary Lavenfort, siedząc przez jakiś czas nieruchomo na miejscu, skąd mogła obserwować doskonale, co się dzieje dokoła niej, wstała nagle szybko i przeszła w przeciwny róg pokoju, gdzie nikt nie przeszkadzał jej rozpamiętywać swego nieszczęścia. Gdy znowu zwróciłem uwagę na Grysa, stał i liczył swe palce. Potem opuścił ręce na dół, ile potrzeba i uśmiechał się lekko, co w takich okolicznościach nie mogło być uznane za znak dodatni.

— Ja, ma się rozumieć, nie mam prawa czynić panu żadnych wyrzutów — rzekłem, podchodząc do niego — i postępował pan tak, jak uważał za lepsze, niech pan jednak sam powie, czy nie był pan za okrutny? I bez tego pozycya jej była bardzo niebezpieczna, a pan w dodatku pokazał tę przeklętą chustkę. Czyż te brudne plamy mają być dowodem, że to ona właśnie zabiła swego stryja?

— Panie Rymond — odpowiedział — mnie jako ajentowi powierzono zbadanie tej sprawy, może też pan być pewny, że doprowadzę ją do końca.

— Nie wątpię — pospieszyłem dodać — i wcale nie mam zamiaru wyrzucać tego panu, lecz czyż może pan twierdzić, aby to niewinne, czarujące stworzenie było zdolne do tak haniebnego, wstrętnego czynu? Przecież podejrzenie, wypowiedziane przez drugą osobę płci żeńskiej, nie może być...

Grys przerwał mi:

— Traci pan tu czas, kiedy swą uwagę winien pan skierować na ważniejsze przedmioty. Druga osoba płci żeńskiej, jak pan nazwał najpiękniejszą ozdobę towarzystwa Nowego Jorku, siedzi tam i zalewa się łzami — niech pan idzie do niej i postara się pocieszyć ją.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem, ponieważ jednak mówił zupełnie poważnie, usłuchałem go i podchodząc do miss Mary, siadłem razem z nią.

— Miss Lavenfort — rzekłem miękko — w takim wypadku rzeczywiście nikt nie może pani pocieszyć, a zwłaszcza obcy człowiek, proszę jednak nie zapominać, że rzeczowe dowody nie zawsze odgrywają decydującą rolę, szczególniej w tak zawikłanej sprawie, jak ta.

Zadrżała cała, zaraz jednak owładnęła sobą i patrząc mi prosto w oczy, powiedziała powoli:

— Rzeczowe dowody nie zawsze są tak niezbite, jak to może wydawać się, Eleonora jednak nie wie o tem. Tak się sama zaplątała — Mary przytem nerwowo ściskała mą rękę — jak pan sądzi, czy grozi jej jakie niebezpieczeństwo? — Czy ją... nie mogła mówić dalej.

— Miss Lavenfort — rzekłem jej, wskazując znacząco na ajenta — co pani chce przez to powiedzieć?

Zrozumiała mój znak i zaraz zaczęła inaczej zachowywać się.

— Nie pojmuję, co mają znaczyć pani słowa o tem, iż kuzynka zaplątała się? — zapytałem tonem dość obojętnym.

— Chciałam powiedzieć — rzekła stanowczo — iż ona mimowoli a może świadomie odpowiadała na wszystkie zadawane sobie pytania w ten sposób, iż możnaby podejrzewać, że o tem strasznem zabójstwie wie więcej, niż mówi. Zachowuje się tak — ciągnęła dalej szeptem, tak jednak głośno, iż słychać ją było w całym pokoju — jakby starała się ukryć coś za wszelką cenę; a przecież tak nie jest. Chociaż nie żyję z Eleonorą w wielkiej przyjaźni, pod żadnym jednak pozorem nie uwierzę, by ona więcej wiedziała o tem zabójstwie, niż ja. Czy nie mógłby jej kto, naprzykład sam pan, powiedzieć, iż postępowaniem swem wzbudza bezwiednie, a może już i wzbudziła pewne podejrzenia? A niech pan jeszcze wyjaśni jej, dodała ciszej, że rzeczowych dowodów nie można uważać w tej sprawie za decydujące.

Spoglądałem na nią ze zdziwieniem i myślałem:

— Jakaż jednak aktorka z tej panny!

— Pani prosi, bym ja z nią porozmawiał o tem, a czy nie prościej byłoby, gdyby jej pani sama o tem powiedziała?

— Nigdy nie byłam z Eleonorą w wielkiej zażyłości.

Stanowczo nie mogłem jej już wierzyć; wogóle w zachowaniu jej było coś niezrozumiałego. Ponieważ nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć, rzekłem tylko:

— Przedewszystkiem trzeba zwrócić jej uwagę na to, iż we wszystkich wypadkach prosta droga jest najlepszą.

Mary Lavenfort zalała się łzami i zawoła z boleścią.

— I trzebaż było, by spotkało nas tak straszne nieszczęście! Nie dość było śmierci ukochanego stryja, lecz w dodatku jeszcze kuzynkę moją...

Scisnąłem ją niepostrzenie za rękę; to, zdawało się, iż pohamowało ją. Zamilkła, zagryzając sobie wargi.

— Miss Lavenfort — szepnąłem cicho — nie traćmy nadziei; uważam, iż pani bez powodu poddaje się tak czarnym myślom. Jeżeli nie zdarzy się nic nowego, pani kuzynka nie potrzebuje się lękać żadnego niebezpieczeństwa.

Powiedziałem to umyślnie, by dowiedzieć się od niej, co myśli o tem i w zupełności dopiąłem swego celu.

— Jakże może zdarzyć się co nowego, kiedy ona absolutnie niewinna? — zawołała; potem przyszła jej widocznie do głowy jakaś myśl i dodała: — Rymond, dlaczego mnie zadano tak mało pytań? Przecież ja mogłabym dowieść, iż kuzynka wczoraj wieczorem nie wychodziła ze swego pokoju.

— Mogłaby pani to zrobić?

Nic już teraz nie wiedziałem, co mam myśleć o tej dziwnej pannie.

— Tak, mój pokój znajduje się bliżej schodów niż jej i dlatego musiałaby przechodzić koło mnie, by zejść na dół a jabym to słyszała.

— Również dobrze mogłaby pani i nie słyszeć — zauważyłem ze smutkiem — a nie ma pani innego dowodu na to, iż kuzynka pani nie jest winna tego strasznego występku?

— Gotowa byłabym powiedzieć wszystko, co potrzeba, by ją ocalić.

Bezwiednie odsunąłem się w tył. Kobieta ta zdolna była do kłamstwa, kłamała podczas śledztwa, i wtedy byłem jej za to wdzięczny: teraz wywierała na mnie odpychające wrażenie.

— Mis Lavenfort — rzekłem — źle pani sądzi, że dla zbawienia bliźniego można wchodzić w targi z własnem sumieniem.

— Przecież ja nie zrobiłabym przez to nikomu zła — wymówiła szeptem — błagam pana, niech pan nie myśli źle o mnie.

Nie zdążyłem jeszcze odpowiedzieć na to, gdy naraz otworzyły się drzwi i na progu ukazał się mężczyzna, który, jak widziałem, wyszedł poprzednio w ślad za Eleonorą.

— Panie Grys — rzekł, zatrzymując się na progu — proszę na parę słów.

— O co chodzi? — zapytał ajent, podchodząc do niego.

Przybyły wyprowadził go na korytarz i zaczął mu szeptać coś z ożywieniem; ponieważ widziałem tylko ich plecy, zwróciłem się znowu do swej towarzyszki.

Blada była, lecz w zupełności panowała nad sobą.

— Czy on przyszedł od Eleonory? — zapytała.

— Nie wiem; zdaje mi się, że tak — odpowiedziałem. — Czy nie ma pani kuzynka czegoś, coby chciała ukryć?

— Nie mogę tego twierdzić, lecz tutaj tak wiele mówiono o tym papierze...

— U Eleonory nie znajdą ani tego papieru, ani nic innego, mniej lub więcej podejrzanego — przerwała mi. — W domu wogóle nie było żadnych ważnych papierów, a wiem o tem dobrze, gdyż byłam wtajemniczona we wszystkie interesy stryja.

— Lecz czyż kuzynka pani nie może znać jakiejś tajemnicy, o której pani nie słyszała?

— Między nami nie było żadnych tajemnic, panie Rymond i nawet nie rozumiem, po co tyle czasu stracono na ten papier. Stryja mego napewno zamordował jakiś zbrodniarz. Czy zeznania służby, że drzwi i okna były pozamykane, uznaje pan za niezbite? Jeżeli w tym wypadku nie może pan zgodzić się ze mną, to może choćby ze względu na mnie — rzuciła przytem tkliwe, czarujące wejrzenie — postara się pan znaleść jakie prawdopodobne wyjaśnienie wszystkiego.

W chwili tej podszedł ku nam Grys.

— Mogę pana poprosić na chwilkę, panie Rymond?

Bardzo byłem zadowolony, iż mogłem wywinąć się z tej drażliwej sytuacyi; skorzystałem też z okazyi i zapytałem:

— Co się stało?

— Chcemy wyjawić panu to, czegośmy się sami przed chwilą dowiedzieli — szepnął mi na ucho Grys. — Panowie poznają się: pan Rymond, pan Fobbs.

Skłoniłem się i niecierpliwie czekałem na wyjaśnienia.

— Jest to rzecz pierwszej wagi — rzekł Grys — i zdaje mi się, że zbytecznem jest przypominać panu, iż wszystko musimy zachować w tajemnicy.

— Zupełnie naturalnie.

— W takim razie niech pan opowiada, panie Fobbs.

— Spełniłem skrupulatnie pański rozkaz, panie Grys i udałem się za miss Eleonorą, gdy służące odprowadziły ją do pokoju. Po przyjściu tam...

— Gdzie? — zapytał Grys.



Gotowa byłabym powiedzieć wszystko, co potrzeba, by ją ocalić.

— Do jej pokoju.

— Gdzie on się znajduje?

— Koło samych schodów.

— To nie jej pokój; niech pan zresztą mówi.

— Nie jej pokój? w takim razie chodziło jej tylko o kominek, dla którego tam weszła — zawołał Fobbs, uderzając się po kolanie.

— Kominek?

— Przepraszam, uprzedzam fakty. Z początku nie zauważyła prawie mej obecności, chociaż szedłem zaraz za nią i dopiero po odprawieniu służby spostrzegła mnie. Popatrzyła na mnie z gniewem i wzgardą, lecz potem widocznie pogodziła się z mem towarzystwem. Ponieważ miałem śledzić ją, nie pozostawało mi więc nic innego, jak przejść za nią do pokoju, którego drzwi za sobą nie zamknęła i siąść w rogu, skąd mogłem ją widzieć. Spacerując niespokojnie po pokoju, od czasu do czasu spoglądała na mnie. Nagle zatrzymała się pośrodku i odezwała się: „Pan zechce podać mi szklankę wody — karafka stoi tam na stoliku“. By dojść do tego stolika, musiałem zajść za wysokie lustro, sięgające prawie do sufitu i dlatego też wahałem się, czy mam spełnić jej prośbę. Zwróciła się jednak ku mnie i popatrzyła tak błagalnie, iż zdaje mi się, że i panowie nie oparliby się temu wejrzeniu.

— Dobrze, dobrze, co dalej — naglił niecierpliwie Grys.

— Na chwilę straciłem ją z oczu, lecz tego tylko było potrzeba; gdym wrócił, klęczała przy kominku i szukała czegoś na piersiach u siebie, co zapewne starannie tam ukryła. Podając jej wodę, bacznie na nią patrzyłem, lecz ona zdawała się nie zwracać na mnie wcale uwagi, a tylko wpatrywała się w ogień. Wypiła kilka łyków wody i oddała mi szklankę, a potem nachyliła się znowu nad ogniem i zacierając sobie ręce, szepnęła: „Ach, jak zimno“ — i rzeczywiście drżała całem ciałem. W kominku tlało kilka tylko węgli. Po chwili znowu zaczęła czegoś szukać na piersiach; zaintrygowało mnie to — i spojrzałem jej przez plecy. Rzuciła coś w ogień, co wydało lekki metaliczny dźwięk... Zamierzałem już obejrzeć komiuek, gdy naraz schwyciła koszyk z węglem i wysypała cały do ognia, mówiąc: „Niech się rozpali, tak tu zimno“. — „W ten sposób niczego się pani nie dobije“ — rzekłem jej i wziąłem się do wyjmowania węgli, dopóki...

— Dopóki? — powtórzyłem, widząc, iż zamienia on z Grysem znaczące spojrzenie.

— Dopóki nie znalazłem tego — rzekł Fobbs, podając mi klucz z nadłamaną rączką.

X.

Nowa zachęta dla Grysa.

Zostałem wprost przerażony tem odkryciem. A więc przecudna, czarująca Eleonora, była... w myśli nawet nie mogłem dokończyć tego zdania.

— Zdaje się pan być zdziwionym — rzekł Grys, przyglądając się uważnie kluczowi — przecież panna ta nie na próżno drżała, wikłała się, mdlała.

— Według mnie ta właśnie która mdleje, drży i wikła się, z pewnością nie mogła dopuścić się takiego występku — zaprzeczyłem. — Niech mi pan pokaże klucz.

Podał mi go, mówiąc:

— Jest to ten, którego szukamy. Niema co do tego najmniejszej wątpliwości.

— Jeżeli powie mi prosto w oczy, że jest niewinna, uwierzę jej — rzekłem stanowczo.

Grys spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Pan jeszcze wierzy kobietom? — zapytał. — Chciałbym też wiedzieć, jak długo jeszcze zachowa pan podobną wiarę.

Na to nic już nie odpowiedziałem — przez chwilę milczeliśmy.

— Pozostaje nam tylko — odezwał się znowu Grys: — panie Fobbs, proszę poprosić tu miss Eleonorę, albo lepiej niech pan powie, że proszę ją do salonu.

Po odejściu Fobsa zwróciłem się zaraz w stronę miss Mary, lecz Grys mnie zatrzymał.

— Chodźmy razem — rzekł — chciałbym, by pan był obecny przy naszej rozmowie, miss Eleonora zaraz zejdzie do salonu.

Zawahałem się, lecz myśl, że ujrzę ją znowu, skłoniła mnie do przyjęcia jego propozycyi. Poprosiłem Grysa, by poczekał chwilkę i podszedłem do Mary powiedzieć jej, że odchodzę.

— Co się stało? — zapytała przestraszona.

— Nic takiego, czego by się pani mogła obawiać — proszę się nie lękać!

Wyczytała jednak w mej twarzy niepokój, gdyż rzekła:

— Nie, coś się stało, ja czuję.

— Kuzynka pani zaraz zejdzie na dół.

— Tutaj? — zapytała i zadrżała przytem.

— Nie, do salonu.

— W domu dzieje się coś dziwnego — szeptała — czuję, że ze wszystkich stron zakrada się do nas nieszczęście, nikt jednak nie chce powiedzieć, na czem polega niebezpieczeństwo.

— Miss Lavenfort — starałem się uspokoić ją — Bóg da, że nie stanie się nic takiego, czego mogłaby się pani obawiać. Jeżeliby się jednak coś zdarzyło, ja pierwszy zawiadomię panią o tem.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Katastrofa budowlana w Łodzi.

Łódź stała się w ostatnich tygodniach sławną swemi katastrofami budowlanemi. W ciągu trzech zaledwie tygodni już trzecia kamienica 4 piętrowa wali się w gruzy.

Ostatnia, największa rozmiarami katastrofa budowlana w Łodzi, wydarzyła się w sobotę dnia 5 b. m. Na parceli oznaczonej Nr. 3 przy ulicy Andrzeja, drugie Tow. pożyczkowo - oszczędnościowe wzniosło własny czteropiętrowy gmach. Budynek ukończony prawie, lecz niezamieszkały jeszcze, okolony rusztowaniami, o godzinie 9 wieczór, podczas największego ruchu na ulicy Andrzeja runął, opierając się swym wierzchołkiem o przyległy dom Nr. z. Gdy tylko rozległ się trzask rusztowań, przechodnie zdążyli się ukryć w bramie domu Nr. 5 gdzie też znaleźli bezpieczne schronienie. Łoskot walącego się rusztowania usłyszał dozorujący domu Adam Kodź, który znajdował się w czasowo urządzonem mieszkaniu na pierwszem piętrze, wraz z 12-letnią swoią wychowanką, Maryą Adamską. Słysząc łoskot, Kodź zbiegł na dół, a gdy stanął na chodniku przed domem, zaczęły się walić cegły. Kilka belek i cegieł uderzyło Kodzia, który stracił przytomność. Na ratunek rzucili się stróż domu sąsiedniego z żoną i nieprzytomnego Kodzia przenieśli do swego mieszkania, gdzie udzielono mu pomocy lekarskiej. Wychowanka zaś Kodzia pozostawała w dalszym ciągu w mieszkaniu. Gdy mury runęły zupełnie i przybyła straż ogniowa, postanowiono dowiedzieć się o losie dziewczyny. Strażacy przez sąsiednią realność od ulicy Piotrkowskiej dostali się do mieszkania stróża, skąd wynieśli śpiącą Adamską. Tak więc w skutkach swych katastrofa nie była tak ciężką, gdyż ograniczyła się na poranieniu jednego człowieka.

Według orzeczenia komisyi technicznej, przyczyną katastrofy było niewytrzymanie przez ściany dolne ciężaru górnych pięter. Specyalna komisya budowlana, z udziałem budowniczego gubernialnego p. Nowickiego, oraz zaproszonych budowniczych i inżynierów, dokonała szczegółowych oględzin domu, w którym wydarzyła się katastrofa.

Komisya stwierdziła, że roboty były prowadzone ściśle według planu, opracowanego przez inżyniera Panczykiewicza z Warszawy. Koszt budowy zwalonego domu wynosił 200 000 rbs.



Katastrofa budowlana w Łodzi: Zniszczony skutkiem zawalenia się 4-ro piętrowy dom przy ul. Andrzeja.

Zjazd ogrodników w Łodzi.

W mieście Łodzi odbył się w ubiegłym tygodniu Zjazd ogrodniczy, połączony z odpowiednią wystawą. Zorganizował ją Związek Ogrodników łódzkich, którego prezesem jest Józef p. Hejnowski, a sekretarzem p. Wesołek.

Wystawa odbyła się pod przewodnictwem czynnego bardzo członka Związku Ogrodników w Łodzi, dra Stanisława Bartoszewicza. W uroczystości zawodowej, oprócz ogrodników i pomologów z Łodzi i okolicy, brali również udział delegaci z Warszawy i prowincyi.



Match mistrzów szachistów: Dr. Lasker (X) i Schlechter (XX) przy partyi w wiedeńskim klubie szachistów.



Katastrofa budowlana w Łodzi: Widok ruin od ulicy.



Katastrofa budowlana w Łodzi: Widok zwalonej realności.

Z powodu katastrofy w Uhersku.

W końcu grudnia ubiegłego roku, w sam dzień Bożego Narodzenia było Uhersko w Czechach widownią strasznej katastrofy kolejowej, której ofiarą padło kilkunastu ludzi. Za innemi pismami podaliśmy opis katastrofy w Nr. 2 *Nowości illustrowanych*, umieściliśmy nadto rycinę, sporządzoną według nadesłanego nam szkicu, a przedstawiającą przykre sceny, jakie rozgrywały się na miejscu nieszczęśliwego wypadku. Nie mieliśmy wcale ochoty ubliżenia mieszkańcom miasta Uherska, odmawiając im uczuć, jakie w podobnie smutnej chwili powinny ożywić każdego uczciwego człowieka, dlatego też z wszelką lojalnością umieszczamy dosłownie nadesłane nam przez tamtejszy Urząd gminny sprostowanie:

Do Szanownej Redakcyi

Nowości illustrowanych w Krakowie.

„Nie jest prawdą, że przy katastrofie kolejowej z dnia 25 grudnia 1909 w Uhersku w Czechach, ludzie odmawiali pomocy i rabowali rannych i trupy, lecz prawdą jest, że wszyscy z pomocą pospieszyli, z wyjątkiem jednego Niemca, woźnicy Franciszka Hegera, Nr. 24/4 1890 r. w Jasdorfie, powiat Leitomyśl, który odmówił pomocy — inni z gotowością nieśli pomoc, nie reflektując zupełnie na nagrodę.

Z poważaniem

Urząd gminny w Uhersku.

(Pieczęć urzędowa)

Z powyższego sprostowania widoczne, że mieszkańcy Uherska wypełnili swe obowiązki, jakie na nich nakładało poczucie ludzkiej godności, choć wątpić nie należy, że w podobnej chwili ściągają z różnych stron indywidua, które dają folgę swym dzikim instynktom i jak kruki rzucają się na zdobycz.

Przekonają się z tego także P. T. Czytelnicy o poczytności *Nowości illustrowanych*, które nawet w Czechach mają swych stałych odbiorców, żadnemu bowiem z polskich pism, choć podobne wiadomości umieściły, sprostowania nie nadesłano.

Kronika tygodniowa.

(Na dawną nutę. — Kometa w Krakowie. — Radość mężów. — Wytrwałość niewieściego rodzaju. — Korespondent „Kuryera warszawskiego“ o audytoryum. — Prasa, publiczność i bezstronny obserwator o procesie. — Rekord głupoty ludzkiej. — W sprawie pomnika Jagiełły. — Zaostrzenie się sprawy barbakanowej. — A może konserwatorowie mają słuszność? — Rudawa i Sekwana. — Refleksye na temat solidarności narodowej).

Pomimo, iż proces Borowskiej trwa już trzeci tydzień, zainteresowanie się nim całego Krakowa nie tylko nie zmniejszyło się wcale, owszem przybiera coraz bardziej na nasileniu. Nawet kometa, która się pokazała nad Krakowem w nocy z 24 na 25 stycznia, nie ostudziła wcale zapału, z jakim płeć piękna śledzi przebieg rozprawy. Tłómaczą sobie, że i ona, jako istota rodzaju żeńskiego przygnana ciekawością, zjawiła się nad Krakowem, by wziąć udział bodaj w końcowych sesyach sądu przysięgłych, który tak zainteresował cała Europę. Jeśli przyjmiemy to za pewnik, zrozumiałem się staje jej pośpiech, z jakim dążyła nad Wisłę, przedwczoraj sygnalizowano ją bowiem z Reggio di Calabria, wczoraj obserwowano ją nad Władywostokiem, dziś (wtorek) obwieściło jej przybycie krakowskie obserwatoryum astronomiczne.

Nie jest to jednak jeszcze owa groźna kometa Halleyowska, która ma położyć kres istnieniu naszej planety, ale jakaś mniejsza rybka między kometami, nazwana przez astronomów 1910 a. Zjawienie się jej nad Krakowem przyjęte zostało z uznaniem przez brzydką połowę rodzaju ludzkiego, jest bowiem dana każdemu sposobność pozostania dłużej wieczorem poza domem, pod pretekstem studyów astronomicznych. Nie pomogą perswazye małżonek, by pan domu przed dziesiątą powrócił w progi domowego zacisza(?!), na wszelkie argumenty czcigodnej połowicy ma każdy z nich steoretypową odpowiedź: Ciebie interesuje przebieg procesu Borowskiej, dlaczegóż ja nie mam się zająć losami komety?...

Niejednokrotnie narzekałem już w kronikach na nasze społeczeństwo, iż nie odznacza się ono wcale wytrwałością. Wspominałem o tym historycznym słomianym ogniu, który stanowi jedną z cech charakterystycznych naszej indywidualności, dziś jednak muszę przyznać, iż byłem w błędzie. Jeśli kiedy, to teraz mam namacalne dowody, że nawet nasze panie brylują cnotą, która ma nazwę wytrwałości. Bo proszę tylko pofatygować się do sali rozpraw, choćby na pół godziny przed rozpoczęciem roków sądowych, a ujrzysz codziennie galeryę obsadzoną płcią piękną tak szczelnie, iż zda się i mysz by tamtędy się nie przecisnęła. Przez cały czas posiedzenia śledzą z uwagą przebieg sprawy, a gdy mężczyźni opuszczają w południe na godzinę lub dwie salę rozpraw, by się posilić i przewietrzyć, żadna z niewiast ani drgnie na swym stołku, ale czeka cierpliwie dalszego ciągu, bojąc się, by tymczasem która z koleżanek nie zajęła jej miejsca. Zachowanie się galeryi pozostawia także wiele do życzenia, od czasu do czasu rozlegają się stamtąd oklaski lub pomruki niezadowolenia, które wyprowadzają z równowagi przewodniczącego lub obrońcę, są jednak dowodem, jak żywy udział bierze galerya w rozprawie i jak się jej przebiegiem interesuje. Korespondent *Kuryera warszawskiego* charakteryzuje audytoryum kryminalne w następujący sposób: Audytoryum tak mało konsekwentne, jak niewytłómaczonym i niekonsekwentnym jest cały przebieg krytycznego dnia...

Swoją drogą rozprawa obfituje w wiele bardzo ciekawych momentów, które podniecają uwagę, tak prawników jak i profanów w tym względzie i stają się przyczyną, że proces niniejszy zajmie jedno z pierwszych miejsc w dziejach naszej kryminalistyki. Część prasy i publiczności staje po stronie przewodniczącego, przyznając mu takt w prowadzeniu rozprawy, druga część ubolewa nad losem oskarżonej, która ma być rzekomo maltretowaną. Bezstronny obserwator przyznać jednak musi, że takimi względami, tak trybunału jak i całego otoczenia, jakimi cieszy się pani Borowska, nie mógłby się poszczycić żaden ani żadna z oskarżonych, którzy zasiedli kiedykolwiek na owem nieszczęsnem miejscu w gmachu świętego Michała. Gdyby tak powstał z grobu któryś z ś. p. sędziów, jacy prowadzili dotąd rozprawy w krakowskim sądzie karnym i przypatrzył się dzisiejszemu sposobowi ich prowadzenia, musiałby przyznać, że na tem polu widocznym jest nadzwyczajny postęp.

Kto jednak używa na obecnym procesie, to najrozmaitsi korespondenci wszelkiego rodzaju pism i to nie tylko zagranicznych ale i polskich. Prasa warszawska podaje wiele bardzo sensacyi na wiarę swych korespondentów, które jednak nie zawsze odpowiadają rzeczywistości, jak n. p. obecność dwu sztabowych oficerów na sali rozpraw, mających rzekomo śledzić z urzędu przebieg rozprawy. Niemieccy sprawozdawcy prześcigają się natomiast w wynajdywaniu nonsensów, którymi bawią swych czytelników i dają świadectwo swej kulturze. Pozazdrościł laurów koledze Ziffe'erowi sprawozdawca wiedeńskiej gazety *Neues Wiener Journal*, który Galicyę nazwał *Land des Tolstoi und Gorki*. Widocznie ów *szmok* zna się nie zbyt dokładnie na geografii, przebaczyć mu bowiem należy, gdzieżby bowiem kulturalny Niemiec (choćby z pejsami) miał się zajmować takiemi drobnostkami, jak geografia lub historya jakiegoś tam *Bärenlandu*. I tacy ludzie mają być kierownikami opinii publicznej! Nie lubię Rusinów, ale muszę tu użyć ich przysłowia narodowego: *Sedy tycho...*, które bardzo trafnie da się zastosować do owego wiedeńskiego sprawozdawcy, który o Galicyi wie zapewne tylko tyle, ile miał sposobność przeczytać na łamach naszej przyjaciółki z Fichtegasse, lub usłyszeć z ust swego taty, który dorobiwszy się w Galicyi majątku, przeniósł się potem na bruk wiedeński i tutaj udaje zabitego Niemca.

Tym możemy jeszcze przebaczyć, niezrozumiałą natomiast wydaje nam się ignorancya feljetonisty pragskich *Narodnich listów*, który twierdzi, że „Borowska jest wymownym typem kobiety, jakie zrodziło ostatnie powstanie polskie“. Nie przypuszczam, aby autor niniejszej notatki chciał być ubliżyć naszemu społeczeństwu, które jako Słowianin znać powinien dokładniej, raczej nasuwa mi się myśl, że pisząc, chciał użyć jakiegoś kwiecistego zwrotu, no i wybrał niefortunnie. Pani Borowska jest osobą w wysokim stopniu nerwową, za takie zaś ogółu naszych kobiet uważać przecież niepodobna. Zapomniał także, że pochodzi ona z rodziny Klecanów, których ra czej uważać należy za Czechów, jak za Polaków... Niestety jednak, niektórzy panowie piszą, co im ślina na język przyniesie i nie czytają potem swych elukubracyi, gdyby to bowiem czynili, wykreśliliby bodaj w korekcie owe miejsca, stanowiące dowód ich umysłowego ubóstwa.

Jak na dziś, wystarczy zdaje mi się owych procesowych refleksyi, które stanowią materyał trzeciej już z rzędu kroniki tygodniowej i są wymownem świadectwem, że i kronikarz, mający z obowiązku żyć życiem społeczeństwa, tak się tą sprawą przejął, iż o niej tylko myśli, mówi, a nawet marzy i boi się, że gotów się przejąć jej nerwowością tak, jak niektórzy z przymusowych i dobrowolnych uczestników rozprawy.

Mamy przecież wiele spraw, które powinny nas zająć, bardziej nawet, niż toczący się proces. Deputacya Rady miejskiej, która jeździła do Wiednia, aby Paderewskiemu podziękować za prawdziwie książęcy dar dla miasta Krakowa, powróciła już z podróży i przywiozła wiadomość, że ofiarodawca zgodził się na to, aby pomnik stanął na Placu Matejki. Postawił jednak warunek, że odsłonięcie musi się odbyć w czasie obchodu jubileuszowego, co znów zmartwiło niektóre osobniki krakowskie, bojące się, by przypadkiem nie zniewaał się na nas cesarz Wilhelm. Panowie ci mieli ogromną ochotę, aby Paderewski upierał się przy placu św. Ducha, gdyż sprawa mogłaby wówczas dostać t. z. „szybera“, a z czasem może i „utonąć w zapomnienia fali“, nim bowiem plac ten zdołanoby uporządkować, obecne pokolenie przeniosłoby się na Rakowice, jego zaś miejsce zajęłoby nowe, które może o pomnik nie dopominałoby się tak energicznie, a składy miejskie na Dajworze mogą bardzo łatwo pomieścić nie jeden jeszcze, ale nawet trzy pomniki.

Także sprawa panoramowo-rondlowa zaczyna się zaostrzać, magistrat bowiem odrzucił plany przedłożone przez Styków, bojąc się, by mury Barbakanu nie ucierpiały, a i rekurs konserwatora Tomkowicza nie został jeszcze załatwiony. W każdym razie konserwatorowie i archeologowie postanowili wytoczyć raczej ostatnią kroplę krwi, niż Stykę puścić do Rondla, a zdaje się, że i miarodajnie sfery ze względów wyższej polityki pójdą im na rękę. Przykład Paryża, gdzie Sekwana podmyła podobno fundamenty wieży Eiffla, powinien być dla nas przestrogą, czyż bowiem nie szkoda byłoby pomnika i panoramy, gdyby n. p. w ślad Sekwany miała ochotę pójść i nasza Rudawa, nim ją jeszcze wyrzucą za granice miasta!

Zdaje mi mię, że cały odchód Grunwaldu zrobi, jak to zwykle u nas się się dzieje, kompletne fiasco, gdyż konserwatyści już teraz okazują swe niezadowolenie i występują z komitetu obchodowego. Nie należy więc wątpić, że wszelkiemi siłami będą paraliżować zabiegi inaczej od nich myślącego społeczeństwa. Będzie to jedynym więcej dowodem, że nie nauczyliśmy się dotąd żyć w jedności i zgodzie, że nie rozumiemy innych wspólnych celów i dążności, słowem, że nie zmieniliśmy się ani na jotę, choć byłby czas nabrać przecież politycznej rozwagi, a solidarności narodowej nauczyć się bodaj od wrogów!

Weźmy sobie przykład z Rusinów lub Czechów. I jedni i drudzy rozbici są na niezliczone partye, które sobie nawzajem szkodzą i podstawiają nogę, jeśli jednak nadarzy się sposobność, ręka w rękę postępują przeciwko nam. Przykłady codzienne tego miłego polsko-ruskiego stosunku mamy w Galicyi Wschodniej, gdzie największym wrogiem polskości, jest ukrainiec i starorusin. Zupełnie to samo dzieje się na Zachodzie, mianowicie na Śląsku, gdzie miejsce Rusinów zajmują Czesi, zwalczający wszelkiemi siłami każdy objaw naszego życia narodowego. Nie łudźmy się wcale, że Czesi są naszymi przyjaciółmi, sympatye ich względem naszej narodowości kończą się tam, gdzie się zaczyna ich osobisty interes. Na zjazdach, wiec ch, wystawach i ucztach mówi się co innego, zapewnia się o braterstwie słowiańskiem, przykłady z życia codziennego pokazują, że jest inaczej. Na Śląsku austryackim najzaciętszym wrogiem Polaków, jest Czech, a i tu wszystkie partye polityczne łączą się razem, jeśli chodzi o zalanie Polakom sadła za skórę.

X.

Śmierć Menelika.

(Do illustracyi na str. 4).

Do Europy nadeszła wiadomość, że jeszcze 23 grudnia u. r. zmarł Menelik, cesarz Abissynii. Przez 3 tygodnie miała cesarzowa utrzymywać w tajemnicy wiadomość o śmierci władcy Abissynii, a w dziennikach niemieckich nie brak podejrzeń, że ona sama była sprawczynią śmierci Menelika.



Prof. dr. Leon Wachholz, lekarz-rzeczoznawca.



Doc. dr. Stanisław Jankowski, lekarz-rzeczoznawca.

Jak wiadomo, cesarz Menelik od dłuższego czasu był ciężko chory. Po ataku apoplektycznym odzyskał jednak częściowo władzę i przytomność umysłu o tyle, że mógł udzielać posłuchań i zajmować się sprawami państwowemi. Przewidując bliski koniec swego żywota, uregulował kwestyę następstwa tronu przez uroczystą koronacyę wnuka swego, 13-letniego księcia Lidy Jassu, a zatargom dynastycznym starał się zapobiedz przez małżeństwo następcy tronu z wnuczką swego przeciwnika i poprzednika, cesarza Jana.

Jak ułożą się w przyszłości stosunki w Abissynii, nie wiadomo. To jednak jest pewnem, że dzisiejszy swój byt i niezależność zawdzięcza Abissynia Menelikowi, który umiał rozprawić się z Włochami, od których groziła cesarstwu abissyńskiemu okupacya, umiał zrównoważyć wpływy Anglii i Francyi, dopuszczając do udziału w życiu handlowem i ekonomicznem Abissynii Rzeszę niemiecką i Rosyę.

W r. 1897 po ostatecznej i zwycięskiej rozprawie Menelika z Włochami zyskała Abissynia zupełną niezależność polityczną, w ślad za którą poszło scentralizowanie poszczególnych prowincyi w silne i jednolite państwo.

Śmierć Menelika, aczkolwiek nie przyszła niespodziewanie, budzi jednak obawy, że Abissynia może się obecnie stać na nowo terenem zaciętych walk wewnętrznych między samodzielnymi naczelnikami poszczególnych prowincyi i plemion.

Proces Borowskiej.

Zakończeniem postępowania dowodowego w procesie przeciw Borowskiej były oględziny miejsca tragedyi, t. j. mieszkania ś. p. Lewickiego przy ul.



Świadek Jerzy Rotschek, koncepista policyi.

Sławkowskiej l. 28., gdzie obecnie mieści się kancelarya adw. dra Kłębkowskiego. Oględziny odbyły się w środę przed południem przy udziale trybunału, sędziów przysięgłych, prokuratora, obrońcy, sędziego śledczego, znawców lekarzy i znawców broni, kilku świadków oraz przedstawicieli prasy.

Borowska z powodu złego stanu zdrowia była nieobecna. Publiczność jednak, przekonana, iż oskarżoną przywiozą na miejsce, zgromadziła się tłumnie



Zjazd ogrodniczy w Łodzi: Uczestnicy Zjazdu.

w ul. Sławkowskiej, tak że policya z trudem tylko mogła utrzymać porządek i zapobiedz przerwie w komunikacyi.

Oględzinami kierował przewodniczący rozprawy, nadradca Błonarowicz, a punktem kulminacyjnym



Fragment z sali sądowej: trybunał z protokolantem.

były próby strzałów z brauninga oraz orzeczenie znawców broni.

Po orzeczeniach znawców lekarzy nastąpi zamknięcie postępowania dowodowego a potem ustalenie pytań i wywody stron oraz werdykt sędziów przysięgłych. Wyrok spodziewany w sobotę, o ile nie nastąpi odroczenie rozprawy, którego domaga się Borowska, tłómacząc się ciężką chorobą.



Fot. Kuczyński i Gürtler.
„Mruk“, ulubiony pies ś. p. Lewickiego.

Jubileusz artysty.

Artysta teatru „Rozmaitości“, pełen ognia i zapału młodzieńczego, twórca niezliczonego szeregu ról lirycznych, komedyowych i bohaterskich, Teodor Roland, święci jubileusz 25-letniej karyery scenicznej.

Już 5 lat!... A tak to niedawno, zda się, jak wystąpił w 1885 r. na scenie krakowskiej.

I on poleciał w ten ogień artystyczny, który niecił w Krakowie Stanisław Koźmian — i on wyrwał się z rodzinnej Warszawy i pobiegł w ten świat zaczarowany kulis i kinkietów.

Zajął odrazu wybitne stanowisko na scenie, na którą wniósł talent, entuzyazm szczery, pracę i wiarę w ideał sztuki.

Szybko ogarnął cały zakres postaci młodzieńczych, które ożywiał młodą, gorącą krwią swoją i bujnym temperamentem.

Nie będziemy wyliczali długiego szeregu tych pięknych figur, stworzonych przez artystę na scenie, dość wspomnieć pełnego ukraińskiej fantazyi i szlacheckiego animuszu Mazepę, śliczną postać Gucia w „Ślubach panieńskich“ i niepospolitą kreacyę Maciusia w „Zaczarowanem kole“ Rydla, w której przypomni się publiczności warszawskiej na benefisie. Całą sympatyę bywalców teatralnych ma młody jubilat po swej stronie.

Zgon zasłużonego lekarza.

W poniedziałek d. 24 b. m. zmarł we Lwowie jeden z pierwszych ginekologów polskich, dr. Adam Czyżewicz w 69 roku życia. Schodzi z nim do grobu pierwszorzędny lekarz o sławie europejskiej, jeden



Woźny sądowy Sowa.

z pierwszych obywateli kraju, demokrata z przekonań, ongiś poseł do sejmu i zasłużony wiceprezydent miasta Lwowa.

Ś. p. Adam Czyżewicz urodził się w Tarnowie, gdzie też ukończył miejscowe gimnazyum. Po studyach uniwersyteckich na uniwersytecie wiedeńskim i Jagiellońskim, i odbyciu praktyki u prof. Dietla i Madurowicza przeniósł się ś. p. dr. Czyżewicz do Lwowa, gdzie wkrótce zdobył sobie sławę jako znakomity ginekolog, a niezwykle wielka praktyka dała mu milionową fortunę.



Tłumy publiczności, zebrane w ulicy Sławkowskiej w czasie wizyi lokalnej.

Jak wziętym był ś. p. Czyżewicz, świadczy fakt, że do pacyentek jego należała arcyksiężna Blanka, żona arcyksięcia Leopolda Salwatora, do której wzywano go do ostatnich czasów.

W ostatnich latach zarzucił ś. p. Adam Czyżewicz praktykę lekarską i zajął się zarządem swych dóbr. Do końca jednak zajmował się gorliwie zakładem położniczym, którego był prymaryuszem i szkołą położniczą.

Śmierć nastąpiła z powodu powtórnego ataku apoplektycznego.



Jubileusz artysty: Teodor Roland.

Ś. p. Adam Czyżewicz osierocił dwu synów, Adama, znanego również lekarza ginekologa i asystenta zakładu położniczego i Jana, agronoma oraz córkę, p. Wandę Roińską.

Uroczysta eksportacya zwłok odbyła się we Lwowie we środę d. 26. b. m. na dworzec główny, skąd przewiezione zostały do Tarnowa, gdzie znajduje się grobowiec rodzinny.

Cześć jego pamięci!

Dwudziestolecie lwowskiej Kasy chorych.

Jedną z najpożyteczniejszych instytucyi społecznych, jakie powołano w ostatnich czasach do życia, iest instytucya Kas chorych, przeznaczonych dla ludności niezamożnej; Kasy chorych, bądź zawodowe, bądź ogólne, dostarczają w razie choroby swym członkom, obowiązanym do niewysokich opłat, pomocy lekarskiej, środków leczniczych. oraz zasiłków pieniężnych na czas choroby i niezdolności do pracy.

Wiadomo, jaką klęską jest choroba dla każdego pracującego, zwłaszcza w przedsiębiorstwach prywatnych. Kasy chorych zapobiegają bodaj w części tym smutnym skutkom słabości i spełniają prawdziwie dobroczynną rolę.

Jedną z najdawniejszych w Galicyi Kas chorych jest miejska Kasa chorych we Lwowie, istniejąca od lat 20. Z okazyi jubileuszu odbyła się w ubiegłą niedzielę uroczystość w sali ratuszowej, przy udziale licznej publiczności.

Głosy publiczne.

Cyrk Edison. Atrakcyą programu cyrku Edison w Krakowie od piątku dnia 28 bm. do czwartku dnia 3 lutego br. będzie obraz p. t. „Za honor siostry“, zdjęcie artystyczne w 6 obrazach, grane przez pierwszych artystów opery królewskiej w Berlinie p. Ottona Rembe i p. F. Junkermanna. Reszta programu składać się będzie przeważnie z obrazów o treści pouczającej.

Odpowiedzi Redakcyi.

Szan. P. T. Prenumeratorów, interpelujących nas co do rodzaju nowo utworzyć się mających wyrazów zawiadamiamy ponownie, iż muszą to być wyrazy **czysto polskie** bez względu na to, jaką są częścią mowy. Rzeczowniki, przymiotniki, i zaimki muszą być **w przypadku pierwszym liczby pojedynczej**, czasowniki w bezokoliczniku. Imiona własne są dopuszczalne, **nazwiska osób wykluczone,** także nazwy geograficzne, o ile są obcego pochodzenia.

Zwracamy także uwagę, iż każdemu ze zgłaszających się z osobna P. T. Prenumeratorów, nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć, czy rozwiązanie Jego jest dobre. W swoim czasie ogłosimy dokładny spis wszystkich nadesłanych nam rozwiązań i podamy termin losowania, które na ogólne żądanie m siało być nieco przesunięte, aby umożliwić wzięcie udziału osobom z Królestwa Polskiego i głębokiej Rosyi, których rozwiązania teraz dopiero zaczynają napływać.

Wszystkie błędy, reklamowane przez P. T. Prenumeratorów, sprostowaliśmy według życzenia.

WP. Z. Pisarski Raygród: Odpowiada warunkom.

WP. Z. Kamińska Odessa: Uwaga nasza, że czasowniki mogą być dopuszczalne do konkursu, była odpowiedzią na zapytanie jednego z P. T. Prenumeratorów, czy można używać czasowników. Warunków konkursu to nie zmienia, zaznaczyliśmy bowiem wyraźnie, że muszą one być w bezokoliczniku.



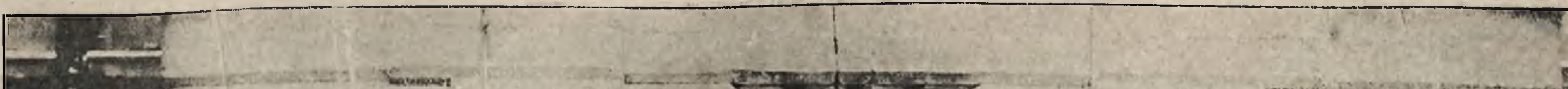
Zgon znakomitego lekarza: Ś. p. dr. Adam Czyżewicz.

który jak WPani sama zauważyła w swem piśmie, kończy się na **ć** a tej litery w wyrazie Słowacki niema wcale.

WP. I Baranicz, Kałusz: Dalszą seryę wyrazów można nadesłać do 15 lutego włącznie.

Z półek księgarskich.

Nowa Książka Kucharska! Przed kilku tygodniami pojawiła się na półkach księgarskich książka p. Maryi Ochorowicz-Monatowej pod tytu-



Fot. M. Münz, Lwów.

Dwudziestolecie lwowskiej Kasy chorych: Uczestnicy uroczystości jubileuszowej.

łem „Uniwersalna książka kucharska“ (nakładem księgarni H. Altenberga we Lwowie). Książka ta, z uwagi na jej praktyczną doniosłość, zasługuje na to, by o jej pojawieniu się zawiadomić nasze panie gospodynie. Z treści książki podnieść należy to, co sama autorka jako program swej pracy w słowie wstępnem zamieszcza. Autorka podaje streszczenie historyi sztuki kucharskiej od najdawniejszych aż do naszych czasów, dalej tak mało dotąd uwzględniane przy prowadzeniu kuchni wiadomości dyetetyczne, specyalne dyety w różnych chronicznych cierpieniach, zalecane przez znane powagi lekarskie, tablice składu chemicznego najważniejszych artykułów żywności, a wreszcie oprócz licznych przepisów potraw czysto polskich jak i międzynarodowych, około 500 przepisów potraw specyalnie dla kuchni jarskiej. Autorka starała się według jej własnych słów obznajomić młode niedoświadczone jeszcze gosposie, jak się mają zabrać do gospodarstwa kuchennego, począwszy od urządzenia kuchni, spiżarni, dyspozycyi najtańszych codziennych obiadów, a skończywszy na wielkich, wystawnych przyjęciach.



Nowa książka kucharska: Ochorowiczowa-Monatowa.

Zaznaczyć należy, że autorka program najzupełniej wykonała w szczegółach, pomieszczonych na 743 stronach druku. Przytem książka zaopatrzona jest w cały szereg doskonałych illustracyi, nieraz wprost artystycznie wykonanych.

Książkę tę tylko gorąco polecić możemy.

Rozwiązanie zagadek z Nr 3.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: H. A. Krunecki Warszawa. T. Nikiel Zakopane, J. Łomiński Rzeszów, M. Gyziecka Przemyśl, S. Grocholski Krosno, O Górkowa Chyrów, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, S. Karczmarski Kraków, S. Krzyżanowski Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, H Maciejowska Warszawa, S Bukowski Kraków, Z. Górecka Krosno, M. Ogibińska Strzyżów. K Fis Kraków, M. Piękoś Brody, W. Gliwa Kraków, W. Kowalski Sandomierz, K. Radzimiński Sokal, B. Liskowacki Sanok, W Ostrowski Sandomierz. K. Lindenbaum Czerniowce, J. Engelberg Rzeszów, M. Wang Przemyśl, J. Nowacki Przemyśl, L. Mrozicki Zakopane, J. Bier Wadowice, M. Latoszyńska Kraków, R Szymański Łódź, A. Balicki Kraków, S Singer Stanisławów, B. Grołowski Kraków, S Liebermann Rzeszów. J. Lemański Warszawa. M. Krysakowski Rzeszów, J Kapılska Kołomyja, W. Zachara Łódź. K. Agat Warszawa, K. Samlicki Mińsk, W. Rybak Rzeszów, J. Jahoda Cieszyn, J Kazimierczuk Jaworzno, K. Radoszewski Żywiec, M. Krawecka Rzeszów, H Liskowacki Podgorze, M. Straszewska Warszawa, S. Rosenbaum Rzeszów, Z. Obertyński Lwów, W. Mazaraki Radom, S. Lewiński Krosno, L. Wąsowicz Lwów, G. Grabowski Radom, Z Olszacki Zakopane, W Hermann Lwów, J. Droździkowski Lublin, M. Kretowicz Rohatyn, W. Aleksandrowicz Krosno. J. Pick Warszawa, J. Schmidt Stanisławów, W. Rabinowicz Kołomyja, M. Wyka Sanok, W. Lasocka Sambor, K. Krzyżanowski Kraków, S Kaczkowski Podgorze, M. Cholewicz Kraków, M Zbieszewska Kraków. M Linowski Kraków, J. Arzt Warszawa, J. Czarkowski Uhnów. K Lemiszewska Kołomyja. Z Czekański Olszanica, S. Karwowski Kraków, L Kamicki Rzeszów, M Zatorska Nowy Sącz, M. Świrski Sandomierz, M. Silberstein Wadowice.

Zadanie do przestawienia: Kto nie ma chęci, wie, jak wykręci.

Szarada: Safo.

Łamigłówka:

Par
Rea
eony
Zara
bej
iwa
ter
Eris
Rej
Jak
aquilo
Numa
Igor
Zan
mara

Logogryf geograficzny:

W
E o n
P a d w a
A r g o w i a
D a c h s t e i n
I r p e ń
A t t r a k c y a
R o d u s
R e u n i o n
J e z i o r o
G n a j s
W i g r y
A l c a z a r
T e r e k
B y k

Łamigłówka literacka:

Lekarz mego honoru.
Odludki i poeta.
Potop.
Emil, czyli o wychowaniu.
Dziadunio.
Egmont.
Wicehrabia de Bragellonie.
Elektra.
Grób Agamemnona.
Ab urbe condita libri.

Logogryf:

J
m u ł
S i k l a w a
K a i r o
u ż
s
r d z e ń
M o s t y
ł
d z i o b a k
n a w ó z
j a k
S z p i e b e r g
K a l k u t a
n a j m i l s z a

Nagrodę przez losowanie otrzymał **W. Rabinowicz Kołomyja.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Z podróży do Włoch.

Obcy: Wy Włosi musicie być przecież wielkimi łajdakami i oszustami, gdyż w żadnym kraju na świecie nie badają tak dokładnie, czy pieniądze, które się wydaje, nie są fałszowane!

Włoch: Tak jest! Ale bo też w żadnym kraju nie przebywa tylu obcokrajowców, co u nas!

Na Węgrzech.

W czasie przyjęcia w jednym z arystokratycznych domów w Budapeszcie, zauważono jakiegoś jegomościa, który miał ogromnie, jak to powiadają, „rzadką“ minę.

— Kto to może być? — pyta jeden z dyplomatów swego sąsiada.

— To będzie prawdopodobnie nowy *homo regius*..

— A poczem to poznałeś?

— Po jego zakłopotanej minie!

MAURYCY LEBLANC.

WYDRĄŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

21 (Ciąg dalszy).

Potem wyszedł na równinę i skierował się ku przylądkowi Antifer. Szedł spokojnie i lekko, tak pełen radości, iż zapomniał nawet o Lupinie, o tajemnicy Igły wydrążonej, o Holmesie, cały przejęty był podziwianiem tylko błękitnego nieba i szmaragdowego morza, lśniącego w promieniach słońca. Po drodze zaintrygowały go resztki kamiennego muru, które uznał za pozostałości starożytnego rzymskiego obozu. Potem napotkał coś w rodzaju małego zamku, zbudowanego na podobieństwo dawnego fortu z popękanemi wieżyczkami i wysokiemi gotyckiemi oknami; stał on na górzystym, skalistym, prawie odciętym od brzegu przylądku. Wstępu do niego broniły kraty najeżone ostrymi gwoździami.

Nie bez pewnego trudu udało się Beautreletowi dostać do niego. Ponad wielką, spiczasto zakończoną bramą, zamkniętą na stary zardzewiały zamek, widniał napis: *Fort de Trefosse*. Nie próbując wejść do środka, skręcił na prawo i spuściwszy się po małej pochyłości, wszedł na ścieżkę, prowadzącą do niewielkiej groty na samym skraju skały. Ściany jej pokryte były całą masą różnych napisów. Z jednej strony wykuty był prawie kwadratowy otwór, przez który widać było w odległości trzydziestu do czterdziestu metrów fort Trefosse.

Beautrelet rzucił na ziemię swój węzełek i siadł. Dzień ten był dla niego dość ciężki i męczący, usnął więc w jednej chwili. Obudził go świeży powiew wiatru, jaki wdarł się do groty przez otwór. Przez kilka minut pozostał nieruchomy i jakby nieprzytomny, z błędnie biegającemi dokoła oczami. Starał się oprzytomnieć, opanować swą ociężałą jeszcze myśl. Przeciągnął się i już chciał powstać, gdy naraz doznał wrażenia, że oczy jego utkwione na jeden punkt, patrzą na coś... Wstrząsnął nim dreszcz. Ręce jego zacisnęły się i poczuł, jak krople potu występują mu na czoło.

— Nie... nie... — szeptał — to sen, złudzenie... Czyżby możliwe?

Nagle ukląkł i nachylił się. Dwie wielkie litery, każda długości stopy, wyciosane były w granicie podłogi. Wyciosane nieumiejętną ręką, lecz wyraźne, z zatartemi przez czas kątami, przedstawiały duże D i F.

D i F! cud prawdziwy! Litery zaznaczone właśnie w dokumencie! Nie potrzebował nawet sprawdzać ich, tak żywo miał w pamięci tę czwartą linię liter i znaków! Znał je zobrze! Były one jakby wyryte w jego źrenicach, wtłoczone na zawsze w jego mózg. Podniósł się, przeszedł przez ścieżkę, minął dawny fort i skierował się szybko do jakiegoś wieśniaka, który pilnował trzody owiec karmiących się na pochyłościach wzgórza.

— Ta grota tam na dole... ta grota...

Wargi jego drżały; szukał w myśli słów, których nie mógł jednak znaleść, by wyrazić swe zapytanie.

Wieśniak przyglądał mu się ze zdumieniem. Izydor zdołał wreszcie sformułować zdanie:

— Ta grota... która jest tam... na prawo od fortu... ma jaką nazwę?...

— Naturalnie... Wszyscy z Etretat nazywają ją Panieńską (des Demoiselles).

— Co?... co?... Jak mówicie?

— No tak... pokój panieński...

Beautreletowi człowiek ten przedstawił się na chwilę, jako uosobienie tajemnicy; chciał rzucić się na niego, by wyrwać mu z wnętrza całą prawdę.... Demoiselles! Było to jedno z dwócg słów odczytanych w dokumencie!

Jakiś szał radości ogarnął Beautreleta. Rozumiał już teraz wszystko, pojmował istotną treść dokumentu. Demoiselles... Etretat...

— To właśnie... — zastanawiał się — nie może być nic innego, tylko to... Dlaczegóż nie odgadłem tego wcześniej?

Zwrócił się po cichu do wieśniaka:

— Dobrze... możecie iść... dziękuję...

Zdziwiony wieśniak gwizdnął na psa i oddalił się.

Beautrelet zawrócił do fortu. Mijał go już prawie, gdy naraz przypadł ku ziemi i wcisnął się pod mur. Załamując ręce, myślał:

— Czy ja zwaryowałem? A gdyby on mnie zobaczył? A gdyby jego wspólnicy mnie zobaczyli? Od godziny kręcę się tutaj...

Nie ruszał się. Słońce już zaszło. Zwolna zapadał wieczór, pokrywając wszystko cieniami. Gdy zmrok już zapanował, zaczął się czołgać ostrożnie na brzuchu i zbliżył się w ten sposób do jednego ze szczytów przylądka, nad samym skrajem brzegu morskiego. Udało mu się wreszcie wspiąć tam. Wyciągniętemi rękami rozsunął kępy trawy i głowę zwiesił nad przepaścią. Wprost niego wznosiła się z morza potężna skała osiemdziesiąt metrów wysokości, jakby jakiś olbrzymi obelisk, oparty na szerokiej granitowej podstawie, zaledwie wyłaniającej się z wody i stopniowo zwężającej się ku górze, tak, iż był podobny do ogromnego zęba jakiegoś morskiego potwora. Kolosalny ten monolit, koloru brudno białego, porysowany był w linie horyzontalne, na których widać było powolną pracę wieków, nakładających jeden pokład wapna i głazów na drugi. Palce Beautreleta wpiły się w ziemię jak szpony dzikiego zwierza gotowego do skoku na swą ofiarę. Oczy jego przebijały chropowatą skorupę skały, wdzierały się w jej wnętrze. Zdawało mu się, że dotyka jej już, że ją przenika, obejmuje w swe posiadanie. Niebo rozpłomieniało wszystkimi ogniami zapadającego się słońca, tworząc z długich czerwonawych obłoków wspaniałe krajobrazy, jeziora o postrzępionych brzegach, równiny w płomieniach, złocistą lasy krwawe rzeki, jakieś tajemnicze gorejące mary. Błękit nieba zasępił się. W górze zajaśniała Venus cudownym blaskiem, gasząc swem światłem miliony wschodzących małych gwiazdek.

Nagle Beautrelet zamknął oczy i schwycił się konwulsyjnie rękami za głowę. Tam — och! zdawało mu się, że umiera z radości, tak wielkie było wzruszenie, ściskające mu pierś — tam na wysokości Igły z Etretat, ponad najwyższym szczytem, dokoła którego goniły się jeszcze mewy, płynął w górę z jakiejś szczeliny wąski pasek dymu.

IX.

Sezamie, otwórz się.

Igła z Etretat wydrążona. Czy to zjawisko naturalne? Wydrążenie spowodowane przez jakieś wewnętrzne kataklizmy, lub przez ustawiczną pracę burzliwego morza? Czy też dzieło dokonane przez ludzi, Celtów, Gallów, naszych przodków przedhistorycznych? Kwestya nie dająca się rozwiązać. Lecz cóż ona mogła znaczyć teraz wobec tego odkrycia, iż Igła jest wydrążona.

O czterdzieści lub pięćdziesiąt metrów od wspaniałego łuku, zwanego Bramą *Aval*, wznosi się potężny stok wapienny, który jest niczem innem, jak pustą kamienną pokrywą, ustawioną na morskiej skale!

Cudowne odkrycie! Po Lupinie obecnie Beautrelet znajduje klucz do wielkiej tajemnicy rządzącej światem przez przeszło dwadzieścia wieków, klucz dający władzę niezmierną temu, kto go posiadł! Po zdobyciu klucza tego, Cezar mógł pokonać Gallów. Gdy go poznali Normandowie, zawładnęli krajem całym i jakby oparci o ten punkt, opanowali sąsiednią wyspę, zawładnęli Sycylią, podbili wschód. Królowie Anglii dzięki posiadaniu tej tajemnicy zdobyli Francyę, poniżyli ją i kazali koronować się w Paryżu. Z utratą jej utracili dawną swą potęgę.

Odkąd tajemnica ta poszła do królów Francyi, zaczęła wzrastać ich moc, zaczęły rozszerzać się ciasne granice ich ziem, począł budzić się do życia wielki naród — gdy przestali z niej korzystać, zapanował ogólny upadek. Spadkobiercą Francyi w posiasaniu tej tajemnicy stał się po upływie wieku Lupin, a teraz Beautrelet chce mu ją wydrzeć, przeniknąć we wnętrze Igły wydrążonej.

Igła jest wydrążona, jest to fakt niezbity. Należy tylko odkryć sposób, w jaki można się do niej dostać. Prawdopodobnie przez wodę. Od strony morza muszą tam być zapewne jakieś szczeliny dostępne dla barek w czasie odpływu. Lecz jak tam przeniknąć lądem?

Aż do dziesiątej godziny wieczorem Beautrelet pozostał zawieszony nad przepaścią z oczami utkwionemi w tę mroczną piramidę, szukając w myśli drogi, po której mógłby się przedrzeć do jej wnętrza. Potem wrócił do Etretat, wybrał jeden z najskromniejszych hoteli, zjadł obiad i jak tylko wszedł do swego pokoju, rozłożył zaraz przed sobą dokument.

Nie przedstawiało teraz dla niego najmniejszej trudności odczytać go całego. Spostrzegł odrazu, iż trzy samogłoski ze słowa *Etretat* znajdują się w pierwszej linii w należytym porządku i z odpowiednimi przerwami. Pierwszy więc ten wiersz wyglądał obecnie tak:

e. a. a., etretat. a..

Jakież słowa mogły poprzedzać *Etretat?* Bez wątpienia wyjaśniały one położenie Igły w stosunku do miasta. Igła wznosiła się na lewo, na zachód... Namyślał się, przypominając sobie, że w stronach tych wiatry zachodnie nazywają się wiatrami *aval* (dolnemi) i że sąsiednia brama nosi również nazwę *Aval*, napisał więc:

En aval d'Etretat (w dół Etretat).

W drugiem wierszu było słowo *Demoiselles*, które poprzedzały samogłoski stanowiące słowa *la chambre des*, dzięki temu miał już dwa zdania:

En aval d'Etretat, — La chambre des Deoiselles (pokój panieński).

Więcej trudu zadał mu trzeci wiersz i dopiero po kilku próbach, gdy zwrócił uwagę na to, iż z pokoju panieńskiego widać zamek zbudowany na miejscu fortu Frefosse, mógł wyjaśnić treść całego prawie dokumentu.

En aval d'Etretat. — La chambre des Demoiselles. — Sous le fort de Frefosse. — L'Aiguille creuse (W dół Etretat. — Pokój panieński. — Pod fortem Frefosse. — Igła wydrążona).

Te cztery krótkie zdania wskazywały, iż należy według wszelkiego prawdopodobieństwa pod fortem Frefosse i w ten sposób dostać się do Igły. Drogę z pokoju panieńskiego pod fort Frefosse przedstawiały znaki czwartego wiersza:

D DF □ 19 F + 44 □ 357 □

Z dotychczasowego poznania dokumentu Beautrelet wywnioskował, iż jeżeli istotnie jest bezpośrednie połączenie lądu z obeliskiem Igły, to musi ono zaczynać się w pokoju panieńskim, przechodzić pod fortem Frefosse, spuszczać się prostopadle sto metrów wewnątrz nadbrzeżnych skał i kierując się przez tunel wybity w skałach morskich, kończyć się pod Igłą.

Wejście do podziemia? Zagadkę tę można było rozwiązać dzięki tylko tym dwom tak wyraźnie wy-

żłobionym literom D i T; one najprawdopodobniej stanowiły drogowskaz, wskazujący drogę pod ziemię, a może też zawierały jakiś ukryty mechanizm, zamykający wejście do tunelu.

Cały ranek następnego dnia Izydor błąkał się po Etretat, gawędząc z mieszkańcami, by zebrać jakiekolwiek informacye. Po południu dopiero udał się na brzeg. Przebrany za marynarza wyglądał jeszcze młodziej niż zwykle, w krótkiem ubraniu i bluzie z wyłożonym kołnierzem miał minę dwunastoletniego chłopca. Gdy tylko wszedł do groty, uklęknął zaraz przy literach. Spotkał go tu zawód. Naciskał je, pchał, odrywał od ziemi, lecz litery ani drgnęły. Przekonał się, iż są wyciosane z jednego głazu i nie mają w sobie żadnego mechanizmu. Muszą więc posiadać inne znaczenie. Z wiadomości, jakie zebrał w mieście, wynikało, iż dotychczas nikt, żaden z archeologów nie potrafił wyjaśnić celu, w jakim wyciosano te litery. Uczeni jednak nie wiedzieli o istnieniu tych dwóch liter na dokumencie, jaki znalazł Beautrelet. Czyż byłby tu tylko przypadkowy zbieg jednakowych znaków? Niemożliwe. A więc?...

Nagle jawiła mu się niespodzianie myśl tak prosta, iż ani na chwilę nie zwątpił o jej słuszności. Czyż to D i T nie były początkowemi literami najważniejszych słów w dokumencie, słów, które razem z Igłą stanowiły główne punkty drogi do przebycia: *la chambre des Demoiselles* i fort *Trefosse*. Między tem D z Demoiselles i T z Trefosse była zbyt widoczna łączność, by można było przypuszczać tu zbieg okoliczności. Wobec tego cały problem przedstawiał się następująco:

Grupa D T wyraża stosunek, jaki istnieje między grotą a fortem, oddzielne D wskazuje na pokój panieński (Chambre des Demoiselles), od którego należy zacząć, oddzielne zaś T przypomina fort Trefosse, gdzie zapewne znajduje się wejście do podziemi. Między tymi znakami znajdują się jesze dwa: nierówny kwadrat ze specyalnem zaznaczeniem lewego kąta na dole i liczba 19, co według wszelkiego prawdopodobieństwa ma służyć za wskazówkę, jak się można dostać pod fort.

Kształt tego kwadratu zaintrygował bardzo Izydora. Czy nie znajduje się przypadkiem na ścianach groty, lub gdzie w pobliżu jakiś napis, lub coś takiego, coby przypominało ten kwadrat? Szukał dość długo i już zamierzał porzucić ten ślad, gdy naraz oczy jego spoczęły na otworze wybitym w skale, który był jakby oknem dla tego pokoju panieńskiego. Forma tego otworu przypominała właśnie nierówny, niekształtny kwadrat, umieszczony na takiej wysokości, iż gdy stanął na dwóch literach, wyciosanych w podłodze, znalazł się właśnie na wprost tego okna. Zajął więc tę pozycyę i patrzył. Ponieważ otwór ten, jak już wspomnieliśmy, zwrócony był ku fortowi, widać więc było przez niego naprzód ścieżkę, łączącą między dwiema przepaściami grotę ze stałym lądem, za nią zaś samo wzgórze, na którem wznosił się fort.

By lepiej się przyjrzeć, nachylił się Beautrelet na lewo i wtedy dopiero pojął znaczenie kąta, zaznaczonego na dokumencie oddzielną linią: z lewej strony na dole okna, znajdował się kawałek krzemienia ostro zakończony, który stanowił, można by powiedzieć, prawdziwą muszkę rewolwerową. Gdy się oko przyłożyło do tego krzemienia, wzrok padał na dość mały placyk, zajęty w całości przez resztki dawnego muru, który Beautrelet uznał początkowo za pozostałości starożytnego obozu rzymskiego.

Pobiegł zaraz do tego muru, długości mniej więcej dziewięciu metrów, a którego powierzchnia zarosła była trawą i roślinami. Nie znalazł tu żadnej wskazówki.

Jaką z tem łączność miała liczba 19? Powrócił do groty, wyjął z kieszeni kłębek sznurka i składany metr, następnie jeden koniec sznurka przywiązał do krzemienia w rogu, odmierzył dziewiętnaście metrów, na drugim końcu przywiązał kawałek kamienia i rzucił go przed siebie. Kamień dosięgnął zaledwie ścieżki.

— Potrójny idyota ze mnie — szepnął do siebie Beautrelet. — Czyż w owych czasach mierzyli na metry? 19 oznacza albo 19 sążni, albo nie znaczy nic.

Po odpowiedniem wyliczeniu odmierzył na szurku trzydzieści siedm metrów, naznaczył je węzłem i zaczął szukać punktu, leżącego dokładnie na tej odległości od okna z panieńskiego pokoju. Po kilku chwilach znalazł dany punkt na murze fortu. Rękami rozsunął liście dziewanny, rosnącej w szczelinach.

Z piersi wyrwał mu się okrzyk radości. Węzeł sznurka, który trzymał w palcach, dotykał małego krzyżyka, wyciosanego na cegle. Znak na dokumencie, idący po liczbie 19, był również krzyżykiem.

Beautrelet musiał użyć wszelkich swych władz duchowych, by opanować wzruszenie, jakie nim ogarnęło. Schwycił pośpiesznie zaciśniętymi palcami za krzyż i starał się ze wszystkich sił poruszyć go. Cegła obróciła się, Zdwoił wysiłki, lecz nie drgnęła już więcej. Zaczął tedy naciskać ją całym swym ciężarem. Poczuł po chwili, że ustępuje. Nagle rozległ się jakby trzask otwieranego zamka i jednoz prawej strony cegły rozstąpił się mur, odkrywając wejście do podziemia.

(Ciąg dalszy nastąpi).





Zagadki do nagrody.

Arytmograf.

Ułożył C. Dorożyński, Warszawa.

Cyfry zastąpić w ten sposób literami, aby powstał szereg wyrazów, których środkowe głoski, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko najpopularniejszego z krakowskich tygodników.

1 2 3 4 □ 5 6 7 6
8 9 10 □ 7 6 2
11 2 □ 2 8
12 □ 13
□
10 4 □ 14 7
15 4 16 □ 1 15 2
1 17 18 15 □ 14 19 6 2
7 4 18 18 14 □ 6 7 4 20 6
18 2 20 14 11 4 □ 6 15 4 16 21 4
20 4 15 2 22 4 23 □ 3 14 20 7 6 16 23
5 2 14 18 14 11 4 24 □ 2 7 5 14 19 6 16 15
1 5 2 22 16 23 4 □ 4 15 4 19 1 6 25
6 7 5 2 11 22 □ 2 5 4 16 21 4
16 15 17 1 5 □ 16 23 14 19 4
16 15 2 5 □ 2 11 26 24
11 4 22 □ 16 24 6
27 2 □ 9 1
23 2 7 11 26 24 1 6 □ 7 24 6 2 19 6 16 15

Znaczenie wyrazów: 1. Malarz włoski. 2. Powieść Kraszewskiego. 3. Miasto w Rosyi 4 Zwierzę. 5. Spółgłoska. 6. Filozof angielski. 7. Ulica w Krakowie 8. Dramat Wyspiańskiego. 9. Obraz A. Gawińskiego. 10 Zepsucie obyczajów. 11. Trzy powieści Słowackiego. 12. Malarz polski. 13. Dwie kompozycye Z. Noskowskiego. 14. Wyjaśnienie praw. 15. Miasto w Królestwie Polskiem 16. Miara rosyjska. 17. Malarz polski. 18. Dramat K. Wroczyńskiego. 19 Imię i nazwisko słynnego powieściopisarza polskiego obecnej doby.

Logogryf.

Ułożył K. Skirmunt, Szemetowszczyzna.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, by rząd środkowy nowo utworzonych wyrazów podał nam nazwisko polskiego pisarza.

□
— — — □ — — —
— □ —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— □ —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Utwór Shakespeare'a. 2 Kraj w Północnej Ameryce. 3 Utwór Homera. 4. Nazwisko świętego, założyciela jednego z zakonów. 5. Umysłowo chory, inaczej głupi. 6. Nauka o związkach ciał.

Kwadrat magiczny.

Ułożył K. Skirmunt, Szemetowszczyzna.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby utworzyły szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, podadzą pseudonim polskiej powieściopisarki.

□ — — — — —
— □ — — — —
— — □ — — —
— — — □ — —
— — — — □ —
— — — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Inaczej powieść. 3. Rycerz hiszpański z XI. wieku. 4. Marszałek francuski 5. Miasto w Sycylii 6 Zaimek 7. Imię jednego z obecnych cesarzy Europy. 8. Twórca islamu. 9. Miasto w Rosyi 10. Spółgłoska.

X Logogryf imienny.

Ułożyła Helcia Tomaszewska, Kraków.

Pola kwadratu zastąpić literami, wyjętemi z podanych niżej zgłosek. W każdym poziomym rzędzie otrzymamy imię meskie. Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, utworzą także imię męskie.

□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —

Zgłoski: An, bert, da, da, er, ma, nest, ni, niel, ro, to, tor, wik, zy.

Zagadka.

Ułożył S. K. Januszewski, Kraków.

Pierwszą z przyczynkiem
Pijacy wciąż smolą,
Druga nie z szynkiem
Lecz zżytą jest z rolą.

Całość, to zwierzę,
Żwawe, niespokojne
Rycerz ją bierze,
Na trudy i wojnę.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył N. N. Kraków.

Z podanych liter zestawić polskie przysłowie: en, u, mącą, szkła, tutki

Łamigłówka zgłoskowa.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Z podanych zgłosek utworzyć znany aforyzm Juliusza Słowackiego.

ca, dem, dzie, ga, i, ka, kli, lecz, lecz, na, na, nam, nie, niec, niech, nie, oś, przed, ro, są, tra, ty, wi, wia, za, ży.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Marka Sobieskiego:* **Tragedya dziecka.** Dramat w trzech aktach.

Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za Redakcyę odpowiedzialny: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie.